NR 3 (1927) 20 STYCZNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Rys. Cezary Krysztopa

STAROŚĆ to wartość

- CZEGO NAS UCZY „HEWELIUSZ”?
- SUKCES SOLIDARNOŚCI W MOWI

ISSN 0208-8045
03 INDEKS 379433
9 770208 040450
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

eprasa.pl 3489c50c38

REPUBLIKA

Sześć gwiazd Republiki komentuje sześć najważniejszych tematów mijającego tygodnia. To jest „Rewolwer” – najbardziej wystrzałowy program publicystyczny w Polsce.



SOBOTA 9:10

w Republice

Komentuj na X.com

#REWOLWER

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 3489c50c38



Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Ciągłość międzypokoleniowa to jeden z fundamentów, na których opiera się Solidarność. Związek nie jest wyłącznie strukturą organizacyjną czy historycznym symbolem przemian ustrojowych. Jest przede wszystkim wspólnotą ludzi, doświadczeń i wartości, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie niczym sztafeta – wymagająca odpowiedzialności, pamięci i wzajemnego zaufania.

Ci, którzy tworzyli Związek w 1980 roku, potem walczyli o jego przetrwanie w mrocznych latach stanu wojennego i odbudowywali struktury na przełomie lat 80. i 90., czerpali wzorce z wcześniejszych pokoleń: powstańców warszawskich, bohaterów wojny z bolszewikami, twórców naszej niepodległości.

Teraz od osób związanych ze Solidarnością od samego początku jej istnienia uczymy się my. Ich doświadczenie, zdobywane często w warunkach represji, ryzyka i osobistych poświęceń, stanowi bezcenne źródło wiedzy. To oni przypominają, że Solidarność rodziła się z odwagi, determinacji i głębokiego poczucia wspólnoty, a nie z kalkulacji czy doraźnych interesów. Dzięki nim młodsze pokolenia mogą lepiej zrozumieć, czym naprawdę jest odpowiedzialność za Związek i za ludzi, których on reprezentuje. Czym jest odpowiedzialność za Polskę.

Wieloletni działacze Solidarności są dla nas wzorem postawy obywatelskiej i związkowej. Ich życiorysy pokazują, że walka o godność pracy, prawa pracownicze i wolność nie była abstrakcyjnym hasłem, lecz realnym wyborem, nierzadko okupionym wysoką ceną. To właśnie oni często przypominają nam o wyjątkowym charakterze Związku – o tym, że Solidarność nie powstała po to, by być jedną z wielu organizacji, lecz by zmieniać rzeczywistość w imię dobra wspólnego.

Dzięki międzypokoleniowej sztafecie Solidarność pozostaje Związkiem wyjątkowym, wiernym swoim korzeniom i jednocześnie otwartym na przyszłość.

Szacunek dla starszego pokolenia nie oznacza jednak bezkrytycznego patrzenia w przeszłość. To gotowość do słuchania, do dialogu i do wyciągania wniosków z historii. Sztafeta pokoleń działa tylko wtedy, gdy młodsi potrafią przejąć odpowiedzialność, a starsi chcą dzielić się swoim doświadczeniem.

W czasach szybkich zmian społecznych i zawodowych łatwo zatracić poczucie ciągłości. Tym bardziej ważne jest, by pamiętać, skąd przyszliśmy i komu zawdzięczamy naszą wolność i możliwość działania w związku zawodowym. Warto pamiętać o tym, co często podkreśla w swoich wystąpieniach Piotr Duda – że jest jedna Solidarność. Od 1980 roku aż do teraz, mimo że zmieniły się warunki, w których funkcjonuje, zmieniają się metody działania, wciąż jest to ten sam Związek. I żyje zarówno dzięki pracy osób, które działają w nim teraz, jak i dzięki tym, którzy budowali go przez minione lata.

Wieloletni działacze Solidarności przypominają nam, że wartości nie starzeją się. Przeciwnie – nabierają znaczenia wtedy, gdy są pielęgnowane i przekazywane dalej. To właśnie dzięki tej międzypokoleniowej sztafecie Solidarność pozostaje Związkiem wyjątkowym, wiernym swoim korzeniom i jednocześnie otwartym na przyszłość.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 3489c50c38

20.01.2026
WYDANIE Nr
3

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Starość to wartość



6	**Babcie i dziadkowie, czyli ciepło i chłód**
10	**Polska wobec starości**
14	**Starość w Polsce ma model klasowy. Rozmowa z prof. P. Szukalskim**
18	**Niewidzialna praca babć i dziadków**
22	**(Nie)łatwo być dziadersem**
26	**Te cholerne matuzalemy**

KRAJ

Braun, czyli suma wszystkich strachów 30

ZAGRANICA

Czechy nie dla euro 38

SPOŁECZEŃSTWO

Kino katastroficzne jako opowieść o państwie 42
Prawda nie zatonie. Katastrofa promu Sewol 46

KULTURA

Robię, co do mnie należy. Rozmowa z Valentiną 50
W kostiumie człowieka 54
Duchowe misterium w operze 56
Dlaczego biografie? 60

HISTORIA

Wiesenthal – czyli łowca nazistów 66

ZWIĄZEK

Co w związku 70
Sukces „S" w MOWI.
„W porównaniu z tym, co było, to jest przepaść" 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność"

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS" na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

WOŚ	**5**
OKRASKA	**9**
GAC	**25**
SKWIECIŃSKI	**33**
KRYSZTOPA	**45**

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI	**21**
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA	**29**
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO	**37**
PRAWO	**41**
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM	**64**

eprasa.pl 3489c50c38

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Rafał Woś

Nie ufam nikomu przed osiemdziesiątką

W czasach młodzieżowej rewolty lat 60. w USA furorę robiło hasło rzucone przez aktywistę Jacka Weinberga. Brzmiało: „Nie ufaj nikomu po trzydziestce" i wyrażało wiarę w to, że tylko młode pokolenie wie, o co chodzi, a stare pierniki są już stracone i nie warto sobie nimi zawracać głowy. Jak człowiek dziś – przeszło pół wieku później – patrzy na dorobek tzw. pokolenia 1968 roku w wielu kluczowych dziedzinach życia (od neoliberalizmu po antynatalizm), trudno nie powtórzyć starego powiedzonka, że pycha kroczy przed upadkiem.

Nie szukając przecież aż tak daleko, ja sam pamiętam coś bardzo podobnego z Polski lat 90. To sączące się zewsząd przekonanie, że starzy to nie mają już temu społeczeństwu nic do zaproponowania – ani materialnie, ani duchowo, ani intelektualnie. Bo oni żyli przecież w innych czasach, a teraz są czasy nowe z kapitalizmem, Unią i internetem. Staruchy więc do wora. A wór do jeziora. Młodzi zaś nie powinni się na nic oglądać, tylko iść do przodu, samorealizować się i być szczęśliwi. Straszne to było nastawienie, które z wielu ówczesnych młodych zrobiło dostrzegających tylko koniec własnego nosa socjopatów. I to jeszcze na dodatek nieszczęśliwych – bo pogubionych, pozbawionych wzorców, struktur i punktów odniesienia w tych swoich (zazwyczaj nieudanych) poszukiwaniach szczęścia. Skutek jest taki, że jak przychodzi weekend, to często się człowiek nie może z nikim umówić na spokojne cieszenie się życiem, bo jeden robi kolejne (oczywiście bezsensowne jak wszystkie kolejne) studia podyplomowe, drugi ma akurat tydzień z dzieckiem w ramach wychowania naprzemiennego, a jeszcze inny i tak nie pije, bo jest „na lekach". Bynajmniej nie na nadciśnienie tętnicze – choć i to pewnie z wiekiem przyjdzie.

Także w naszym życiu społecznym wiele złego zrobił w historii minionych 30 lat ten perwersyjny kult młodości. Leszek Balcerowicz, robiąc terapię szokową, był młodszy niż ja dzisiaj. A ostrzeżeń starych ekonomistów słuchać za nic nie chciał, bo co oni tam wiedzą. Efekt był, jaki był – największe od drugiej wojny światowej zubożenie polskiego społeczeństwa, z którego ran leczymy się do dziś. Kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych (Bill Clinton, Barack Obama) wygrywający wybory pod sztandarem młodzieńczego wigoru, a potem koncertowo zawalający rządzenie na całej linii polityką pozbawioną wszelkiej wizji albo bardziej dalekosiężnego spojrzenia.

Wydaje mi się, że nie tylko ja tak to widzę. W ogóle wydaje mi się, że świat się tą młodością mocno zmęczył. I dziś – gdy wyszły na wierzch długofalowe konsekwencje genialnych pomysłów dawnych młodych – instynktownie lgnie do siwej głowy i bagażu lat na karku. Dlatego kompletnie nie zgadzam się z tymi, którzy psioczą na dwóch seniorów, którzy od lat dzielą między siebie polską politykę. A Trumpa uważam wręcz za męża opatrznościowego zachodniego świata, który naprawia teraz bałagan pozostawiony przez radosną twórczość niegdysiejszych młodziaków. W każdym temacie: klimatu i genderyzmu, Chin i Rosji, migracji i metali ziem rzadkich.

I powiem wam tak: nie ufam dziś nikomu przed osiemdziesiątką. Łącznie ze sobą samym.

eprasa.pl 3489c50c38

Temat Tygodnia

Babcie i dziadkowie, czyli CIEPŁO I CHŁÓD

Jedną z przyczyn zapaści demograficznej w Polsce jest **strach przed posiadaniem dzieci** spowodowany doświadczeniami wielu pokoleń, które żyły w permanentnym kryzysie. Pamięć tę z pokolenia na pokolenie przekazują dziadkowie i babcie. Jednocześnie to im najchętniej powierzylibyśmy swoje dzieci.

Mariusz Staniszewski

Bardzo wielu rodziców – szczególnie kobiet – trójki lub większej liczby dzieci łączy wspólne doświadczenie. Gdy informowali swoje matki i babcie o kolejnej ciąży, nie spotykali się z radością, że na świecie pojawi się nowy członek rodziny. Reakcją była raczej rezerwa i zmartwienie: „Jak ty sobie teraz poradzisz?”.

Takie zachowanie ma głębokie podstawy i wynika z pamięci społecznej, która w Polsce wiąże się z powtarzającymi się kryzysami. Na dodatek z zaskakującą regularnością: II wojna światowa, lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, dziewięćdziesiąte i pierwsza dekada XXI wieku. Systematycznie więc w pamięci odkładała się niepewność ekonomiczna, zagrożenie oraz fala emigracji. W ten sposób przez dekady w zbiorowej pamięci wryło się poczucie tymczasowości, a co za tym idzie – ostrożność przy podejmowaniu dalekosiężnych zobowiązań.

Obecne poczucie dobrobytu jest zjawiskiem stosunkowo nowym

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 3489c50c38



i na tyle krótkotrwałym, że nie zadomowiło się jeszcze na dobre w pamięci pokoleniowej.

Dopóki normy społeczne zakładały posiadanie rodziny, a tym samym dzieci, kryzysowe doświadczenia wielu pokoleń były jak bomba z opóźnionym zapłonem. PRL nie oferowała przecież wielkiego wyboru dróg życia – alternatywnego wobec tradycyjnego modelu społecznego.

Ładunek eksplodował, gdy po upadku komunizmu w wolnej Polsce pojawiły się zupełnie nowe możliwości. Szybko zaczęły zmieniać się normy społeczne. Alternatywą dla rodziny stało się robienie kariery, zdobywanie pieniędzy czy używanie życia. Odzyskanie wolności w naturalny sposób wiązało się z rozluźnieniem norm społecznych.

Baw się

Wtedy właśnie dały o sobie znać skumulowane doświadczenia babć, dziadków i rodziców. Pragnęli, by ich wnuki i dzieci nie musiały się zmagać z tymi samymi co oni problemami – biedą, niepewnością i brakiem bezpieczeństwa. Szczególnie że okres ustrojowej i gospodarczej transformacji spowodował co prawda pojawienie się wysokiego bezrobocia, wielkich sfer ubóstwa i wielu ludziom odbierał perspektywy, ale też otworzył drogę do bogactwa.

Zamiast hasła: „Załóż rodzinę i się ustatkuj”, pojawiało się: „Najpierw znajdź dobrą pracę, zobacz trochę świata, kup mieszkanie, a z dziećmi zawsze zdążysz”.

Trudno takiemu myśleniu odmówić pewnej racjonalności. Łatwiej przecież wychowuje się dzieci, gdy ma się zapewnioną dobrą pensję i mieszka się w nowoczesnym apartamencie. Tyle tylko że trudno określić, kiedy praca jest wystarczająco dobra, mieszkanie dostatecznie luksusowe i zwiedziliśmy już wystarczająco dużo krajów, by zdecydować się na dzieci. Rodzina zaczęła więc przegrywać z innymi, łatwiej mierzalnymi dobrami.

I nie ma się co oszukiwać, doświadczenia babć i dziadków miały tu ogromne znaczenie. Co prawda badania pokazują, że młodzi Polacy nadal bardzo wysoko cenią sobie rodzinę, ale decyzję o jej założeniu odkładają na później. Nawet jeśli podoba im się model życia ojców, matek, babć i dziadków i sami tak by chcieliby ułożyć swój, to jednocześnie zachowują do niego dystans.

Ten paradoks wywołuje dalekosiężne skutki. Odkładanie w czasie zawarcia małżeństwa – w ciągu dekady okres ten wydłużył się w Polsce o trzy lata i dziś średni wiek, w którym młodzi mówią sobie „tak”, wynosi około 30 lat – spowodował drastyczny spadek zawieranych ślubów. To bezpośrednio przekłada się na dzietność, gdyż około trzech czwartych dzieci w naszym kraju rodzi się właśnie w małżeństwach.

Inna droga

Mamy więc sytuację, w której rodzina stanowi dla młodych jedną z najważniejszych wartości, ale realizują oni inny model życia. Znacznie bardziej zindywidualizowany, nastawiony na spełnienie ambicji i własnej kariery. W pewnym sensie jest to urzeczywistnienie niespełnionych marzeń dziadków i rodziców, którzy więcej oczekiwali od losu. Za wszelką cenę pragnęli więc, by ich dzieci miały więcej z życia.

Dziadkowie jakby przerzucili na wnuki własne traumy, a pokolenia wychowane w III RP mają rekompensować ich niedosyt z okresu PRL. Stworzyło to nową normę szczęścia nieopierającą się już na odpowiedzialności i rodzinie, lecz raczej na hedonizmie oraz późniejszym wchodzeniu w dorosłość. Powstał świat mniej empatyczny, w którym do szczęścia nie jest potrzebny drugi człowiek.

W zindywidualizowanym społeczeństwie jednostka ma od początku do końca świadomie decydować o każdym aspekcie swojego losu i dokładnie planować przyszłość. Małżonek i dziecko są tu elementem planu, a nie spontanicznego uczucia i potrzeby bliskości.

„Przemożne oddziaływanie struktury społecznej na zachowanie nie zastępuje indywidualnego wyboru, ale raczej przenosi go na poziom kluczowych decyzji dotyczących sąsiedztwa, szkoły, znajomych, małżeństwa, zawodu i religii. Zamożni na ogół decydują się mieszkać blisko innych zamożnych ludzi, akademicy z reguły zaprzyjaźniają się z innymi pracownikami naukowymi, katolicy pobierają się

eprasa.pl 3489c50c38

z katolikami, kryminaliści wiążą się z innymi przestępcami, nastolatki mają ulubione miejsca, gdzie mogą spotkać innych nastolatków itd.” – piszą w książce „Ekonomia społeczna. Co wpływa na zachowanie jednostki” Gary S. Becker i Kevin M. Murphy.

Pokolenia permanentnych kryzysów i jednoczesne pragnienie dobra dla swoich potomków przekonały ludzi – przynajmniej częściowo – że prawdziwe szczęście wygląda inaczej. Wypchnęły młodych z tradycyjnego systemu wartości, dając w zamian jedynie ułudę szczęścia. Dwa pokolenia młodych znalazły się więc w częściowej pustce, w której trudno znaleźć sens życia. W efekcie punktem odniesienia dla nich stali się inni do nich podobni – starsi przecież własny model szczęścia uznali za błędny.

„Istnieje wiele przykładów efektów ubocznych oddziaływań między sąsiadami. Zdolniejsi studenci zazwyczaj podnoszą poziom innych studentów w tej samej szkole lub okolicy, natomiast narkomani mogą kraść i czynić otoczenie nieprzyjemnym do zamieszkania, a widok matek z sąsiedztwa objętych pomocą socjalną może świadczyć, że pobieranie tej pomocy jest zasadne, i w ten sposób zachęcać inne kobiety z tego sąsiedztwa do posiadania nieślubnych dzieci. Lepsze sąsiedztwa zwiększają również prawdopodobieństwo, że małżeństwa dzieci będą lepsze, gdyż znacznie częściej związki małżeńskie zawierają ludzie, którzy mieszkają w pobliżu siebie, niż ci, którzy mieszkają daleko od siebie” – podkreślają w innym miejscu Gary S. Becker i Kevin M. Murphy.

Dziadkowie, babcie, ojcowie i matki w pewnym sensie wypchnęli więc swoje dzieci z dobrego sąsiedztwa, skazując je na nowe wzorce. Jeśli więc w dużych miastach normą staje się późne zakładanie rodziny oraz posiadanie co najwyżej jednego dziecka, to przybysze ze wsi czy mniejszych miejscowości prędzej czy później uznają ten model za własny. Nawet aspiracyjny.

Idąc dalej, można stwierdzić, że jeżeli powstają coraz szersze społeczności singli, to one również tworzą swoje własne normy, które oddziałują na zewnątrz.

W pewnej mierze zmiana oczekiwań wobec życia Polaków urodzonych w latach 90. zeszłego wieku oraz na początku tego tysiąclecia – poza oczywistymi zjawiskami kulturowymi – wynika z frustracji starszych pokoleń. Młodzi mają je odreagować.

Świetni opiekunowie

Jednocześnie rodzice wskazują babcie i dziadków jako najlepszych opiekunów dla swoich dzieci. Z badania Instytutu Pokolenia z 2023 roku „Rodzice wobec wyzwań opieki nad małymi dziećmi” wynika, że po urlopie macierzyńskim Polacy to właśnie dziadkom najchętniej powierzyliby swoje potomstwo – ponad czterdzieści procent wskazań.

Co więcej, jeśli już seniorzy decydują się na tego rodzaju pomoc, to rodzice są zadowoleni z ich zaangażowania – od sześćdziesięciu czterech do siedemdziesięciu jeden procent wskazań (w zależności od miejsca zamieszkania).

Niedostateczna obecność dziadków i babć lub zupełny jej brak w opiece nad dziećmi wynika z odległego miejsca zamieszkania (41 proc.), złego stanu zdrowia (40 proc.) oraz ich aktywności zawodowej (33 proc.) – możliwe było podanie kilku przyczyn jednocześnie. Zaledwie 22 procent odpowiedzi wskazywało, że dziadkowie po prostu nie chcą zajmować się wnukami.

Mamy więc do czynienia ze współistnieniem dwóch osobnych światów. W jednym skumulowane traumy kolejnych kryzysów, przez które przechodziły pokolenia wychowane w PRL – szczególnie w pierwszych jej dziesięcioleciach – spowodowały odejście od tradycyjnego modelu szczęścia. Pchnęły młodych ku indywidualizmowi i samotności.

W drugim udało się przechować silne więzi, co stanowi korzyść dla całej rodziny. „Od dziadków wnuki uczą się pewnych reguł postępowania, określonego wzoru, który mogą przenieść w dorosłe życie, na grunt własnej rodziny. Dzięki starszym życie jest pełniejsze i bogatsze. Dostarczają oni cennych doświadczeń, wprowadzają elementy tradycji, co pozwala na lepsze zrozumienie procesu przemian społecznych” – pisze pedagog Magdalena Pieńkos w artykule „Dziadkowie w wychowaniu wnuków”.

Z drugiej strony opieka nad wnukami nadaje życiu seniorów sens. Sprawia, że czują się potrzebni. Dłużej są zdrowi i aktywni oraz pełniej przeżywają swoją starość.

Zachowana zostaje ciągłość pokoleniowa, która jest jednym z filarów zdrowego społeczeństwa.

OPIEKA NAD WNUKAMI NADAJE ŻYCIU SENIORÓW SENS. SPRAWIA, ŻE CZUJĄ SIĘ POTRZEBNI. DŁUŻEJ ZACHOWUJĄ ZDROWIE I AKTYWNOŚĆ ORAZ PEŁNIEJ PRZEŻYWAJĄ SWOJĄ STAROŚĆ.

eprasa.pl 3489c50c38

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Prawa pracownika wciąż do śmietnika

Do rządu Donalda Tuska pasuje powiedzonko z czasów komuny: „Gdy partia mówi, że da – to mówi". Premier wyrzucił do śmietnika obietnicę, że skończy z najgorszymi formami zatrudnienia.

Wśród korzystnych dla pracowników decyzji rządu Prawa i Sprawiedliwości było wpisanie do „kamieni milowych" KPO zrobienia porządku z umowami śmieciowymi. Gdy rządy się zmieniły, ten warunek pozostał w KPO.

W dodatku lewica, współrządząc z liberałami, chciała czymś błysnąć. A przynajmniej poudawać. Zapowiedziała reformę Państwowej Inspekcji Pracy. Inspektorzy mieli od ręki zamieniać umowę cywilnoprawną na umowę o pracę, gdyby stwierdzono nadużywanie śmieciówek.

Wciąż niemal półtora miliona ludzi jest zatrudnionych w Polsce wyłącznie w oparciu o takie umowy: umowy-zlecenia, kontrakty B2B, a nawet umowy o dzieło. Za obecnych rządów liczba takich osób wzrosła o 130 tys. Do tego pół miliona jednoosobowych „firm", które wystawiają jedyną fakturę w miesiącu na rzecz tego samego podmiotu. To nie firma – to etat bez umowy o pracę.

Niemal dwa miliony ludzi pozbawionych podstawowych praw pracowniczych, płatnego urlopu, płatnego chorobowego, jakiejkolwiek stabilności zatrudnienia.

Miano z tym skończyć. Ale Tusk po półtora roku obiecanek oznajmił, że nic z tego. Byłoby to „niekorzystne dla przedsiębiorców". Setki tysięcy ludzi wciąż pozostają bez ochrony. Większość z nich, wbrew wywodom liberałów, nie ma innego wyjścia. To oni są słabszą stroną w relacjach z zatrudniającym. W Polsce są całe branże, np. kurierska, gdzie zatrudnionym prawie nigdy nie oferuje się umów o pracę.

Owszem, część osób wybiera śmieciówki czy kontrakty „dobrowolnie". W Polsce pracownik z kiepską pensją płaci bowiem wyższe podatki i składki niż właściciel jednoosobowej firmy. Ludzie, dla których liczy się każdy grosz, wolą kilkaset złotych więcej niż umowę o pracę. To nie ich wina. Dziwić trzeba się państwu, które tak ustaliło stawki.

Na popularności śmieciówek traci uczciwy biznes. Rzetelny przedsiębiorca ma gorszą pozycję, gdy zatrudnia na umowy o pracę. Konkurencja ponosi bowiem niższe koszty, gdy oferuje tylko umowy śmieciowe.

To żadna nowość, że Tusk lekceważy sytuację pracowników. Za jego poprzednich rządów nastąpiła erupcja umów śmieciowych. To wtedy Solidarność zrobiła kampanię billboardową z wizerunkiem Syzyfa. Symbolizował bezsilność i brak sensu wysiłków ludzi zatrudnionych długimi latami na śmieciówkach. Teraz mamy to znowu.

Doszło do tego, że nawet jedna z organizacji biznesowych, Federacja Przedsiębiorców Polskich, domaga się pełnego ozusowania umów-zleceń (niestety z wyłączeniem kontraktów B2B) i opodatkowania ich tak samo, jak umów o pracę. – Konieczne jest wdrożenie rozwiązań, które zapewnią realną ochronę pracownikom oraz wyrównają warunki konkurencji między przedsiębiorcami – mówi lider FPP Marek Kowalski.

Polska to prawdopodobnie jedyny kraj na świecie i jedyny w dziejach, w którym nawet biznes miewa bardziej prospołeczne stanowisko niż rząd z lewicą w składzie.

eprasa.pl 3489c50c38

Polska wobec starości

Polityka senioralna to dość nowe pojęcie zarówno w polskiej debacie politycznej, jak i w języku oficjalnych dokumentów. Dość powiedzieć, że studiując od 2001 roku politykę społeczną, w ogóle **nie zetknąłem się** z tą nazwą. Nie znaczy to jednak, że osoby starsze nie były przedmiotem zainteresowania państwa, choć – powiedzmy sobie uczciwie – różnie na tym zainteresowaniu wychodziły.

Krzysztof Karnkowski



Proj. A.Ch.

Polityka senioralna jako całokształt działań państwa zorientowanych na najstarszych zyskuje na znaczeniu w miarę starzenia się społeczeństwa. Równocześnie proces ten stawia pod znakiem zapytania funkcjonowanie klasycznych systemów emerytalnych, w których pracujący – oczywiście operując wielkim skrótem myślowym – utrzymują obecnych emerytów, by sami swoje emerytury otrzymać dzięki swoim dzieciom, którym na rynku pracy ustąpią miejsca.

Przed wojną

Głównym, a często jedynym, obszarem zainteresowania państwa wobec osób starszych, od czasu odzyskania przez Polskę niepodległości, był właśnie system emerytalny. Jak wszystkie dziedziny życia i gospodarki w 1918 roku nowe polskie państwo musiało scalić go z trzech systemów (a właściwie dwóch, w Galicji bowiem nie istniał żaden system), obowiązujących w zaborach. W okresie międzywojennym obowiązywał klasyczny model bismarckowski, nie był on jednak równy i powszechny – im lepsza była pozycja na rynku pracy i pewniejsze zatrudnienie, tym większa była pewność przyzwoitej emerytury. Oczywiście państwo stosowną opieką otaczało szybko kurczącą się grupę weteranów wcześniejszych powstań, którzy otrzymywali specjalne renty, byli też otoczeni szczególną czcią. System emerytalny wprowadzany od lat 30. obejmował głównie pracowników dużych przedsiębiorstw, takich jak huty i kopalnie, jeszcze wcześniej objął pracowników państwowych i umysłowych (w tym część sprzedawców sklepowych), natomiast ludność chłopska była pozostawiona sama sobie. System był niepełny i fragmentaryczny, czego nie udało się przezwyciężyć aż do 1939 roku, choć krokiem w dobrym kierunku było stworzenie pięć lat przed wybuchem wojny znanego nam Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

eprasa.pl 3489c50c38



Stary portfel

We wczesnej PRL emerytury były dramatycznie niskie. Ich wysokość oscylowała wokół kilkunastu procent średniej krajowej, która też nie była przecież imponująca. Dlatego emerytura była raczej wegetacją niż godną starością. „Poziom życia ludzi starszych zaczął się zmieniać w 1958 roku, kiedy nastąpiła pierwsza duża reforma emerytur. W latach 60. coraz więcej starszych osób żyło z emerytury, ale taki model życia upowszechnił się dopiero w latach 70. Gdy kończy się PRL, emeryturę i rentę otrzymuje prawie osiemdziesiąt procent ludzi w stosownym wieku" – opowiadał kilkanaście lat temu prof. Dariusz Jarosz z Uniwersytetu Warszawskiego odpytywany przez dziennikarzy radiowej Dwójki. Od pewnego momentu emerytura pełniła funkcję elementu kontraktu socjalnego – w zamian za lojalność wobec systemu politycznego państwo gwarantowało minimum bezpieczeństwa dochodowego na starość. Kluczowe ustawy z lat 50., 60. i 80. porządkowały system zaopatrzenia emerytalnego pracowników, a w 1977 roku włączono do niego rolników, tworząc odrębny system (KRUS). Starsze pokolenie ludowców z PSL do dziś lubi przypisywać to osiągnięcie Polski Ludowej działaczom ZSL, choć zważywszy na to, że stało się to po ponad 30 latach istnienia państwa uwielbiającego budować swoją propagandę na obrazach dobrobytu nie tylko robotników, ale i chłopów, to raczej powód do wstydu. System był relatywnie stabilny finansowo, głównie dzięki korzystnej strukturze demograficznej i pełnemu zatrudnieniu, jednak cechował się silnymi różnicami między grupami zawodowymi i niską wysokością świadczeń. Przez lata funkcjonowało pojęcie „starego portfela", opisujące głodowe wręcz stawki emerytów i rencistów, którym świadczenia naliczano według najstarszych, najmniej korzystnych zasad. Ta fraza stała się też tytułem przetrzymywanej na telewizyjnych półkach przez aż 8 lat sztuki w reżyserii Kazimierza Kutza według scenariusza Stanisława Bieniasza (jak pisał Krzysztof Masłoń, czyniło ją to jednym z bardziej wytrwałych „półkowników").

> GŁÓWNYM, A CZĘSTO JEDYNYM, OBSZAREM ZAINTERESOWANIA PAŃSTWA WOBEC OSÓB STARSZYCH, OD CZASU ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI, BYŁ WŁAŚNIE SYSTEM EMERYTALNY.

Bogdan mówi „Bankowy"

Po 1989 r. system zaczął załamywać się, jak większość rozwiązań odziedziczonych po PRL i poddanych szokowym terapiom liberałów. W nowym systemie trudno było utrzymać liczne przywileje emerytalne, którymi komuniści próbowali, oczywiście w duchu sprawiedliwości społecznej, utrzymać poparcie poszczególnych grup. Również tych, w których drzemał duży potencjał buntu i w każdej chwili mógł się przecież obudzić. Równocześnie wraz z likwidacją miejsc pracy, która ruszyła od początku III RP, częstym sposobem na ukrywanie rodzącego się bezrobocia były wcześniejsze emerytury. Tymczasem w kolejnych latach spadał potencjał demograficzny. W 1999 roku rząd Jerzego Buzka przeprowadził reformę wprowadzającą powiązanie emerytur z indywidualną składką. Obok ZUS dla starszych pracowników pojawiły się: filar drugi, kapitałowy – obowiązkowe ubezpieczenie emerytalne w podmiocie komercyjnym (OFE), oraz trzeci – dodatkowe, dobrowolne składki. Z tamtych czasów emeryci

eprasa.pl 3489c50c38

zapamiętali i przeklinali później przez lata reklamy, w których konkurujące ze sobą o ich składki fundusze mamiły swoich klientów wizją stabilnej finansowo starości spędzanej na zabawach z wnukami i wakacjach na ekskluzywnych, egzotycznych plażach. Symbolem tego reklamowego oszustwa była idiotyczna reklama ze sloganem „Bogdan mówi: «Bankowy»", po kilku latach przerobiona na „Bogdan mówi: «Spie...aj»". Niewiele więcej fundusze miały do powiedzenia ludziom, którzy orientowali się, że rzeczywistość wyglądać będzie trochę inaczej niż reklama. System przesunął dużą część ryzyka z państwa na jednostkę, co budziło narastającą frustrację. Zwłaszcza gdy obywatele zaczęli otrzymywać prognozy wysokości przyszłych świadczeń, znacząco niższe od oczekiwań.

Za czasów rządów koalicji PO – PSL wbrew nastrojom społecznym i pomimo protestów podniesiono wiek emerytalny do 67. roku życia. Narastający kryzys finansów publicznych skłonił rządzących do przekazania środków zgromadzonych w OFE do ZUS, co poprawiło wskaźniki ekonomiczne, lecz powszechnie odebrane zostało jako grabież pieniędzy podatników. Oba te fakty przyczyniły się do porażki wyborczej Platformy. PiS swoje rządy zaczęło od cofnięcia podniesienia wieku emerytalnego, a w kolejnych latach system uzupełnił jednorazowymi, lecz powtarzanymi później świadczeniami, takimi jak trzynasta i czternasta emerytura, budzącymi silny sprzeciw liberałów. Nic więc dziwnego, że to te właśnie formy wsparcia były obiektem krytyki (głównie ze strony wyborców PO) w kampanii wyborczej, a po zmianie władzy zostały znacząco ograniczone. Panował przy tym stereotyp, że starszy elektorat częściej wybiera Prawo i Sprawiedliwość, potwierdzający się zresztą w kolejnych wyborach. Dopiero w 2025 roku różnica poparcia dla Karola Nawrockiego i Rafała Trzaskowskiego była dość nieznaczna, zapewne wskutek obliczonej właśnie na zniechęcenie osób starszych do kandydata popieranego przez PiS propagandy. Zauważmy jednak, że elektorat najstarszych będzie coraz bardziej zróżnicowany, a zarazem coraz cenniejszy dla partii politycznych. Te jednak wciąż stawiają na najmłodszych wyborców, których sympatie są na ogół zmienne, a uczestnictwo w wyborach mniej liczne.

> SZYBKO STANIEMY SIĘ NAJSTARSZYM SPOŁECZEŃSTWEM EUROPY, KRAJEM STARYCH LUDZI.

Stara Polska

Polskie społeczeństwo starzeje się bardzo szybko. W 1989 roku Polaków powyżej 60. roku życia było 3 796 000, w 2000 – 4 725 800, w 2010 – 4 725 800, a w 2024 już 4 725 800, widzimy więc stały, szybki przyrost tej grupy społecznej. W tym samym czasie (1990–2024) liczba urodzeń żywych dzieci zmalała o połowę. Równocześnie zwiększa się mediana wieku (granica, którą połowa ludności już przekroczyła, a druga połowa jeszcze nie osiągnęła), która w 2011 roku wynosiła 38, a dziesięć lat później już 42 lata. Jak czytamy w raporcie GUS: „Starzenie się ludności Polski w świetle wyników narodowego spisu powszechnego ludności i mieszkań 2021", „w 2011 r. w Polsce na 100 wnuczków przypadało 90 dziadków. W 2021 r. jest już ponad jeden do jednego, z przewagą dziadków – indeks starości wynosi 119. W 2021 r. nie było już województw, w których liczba dziadków byłaby niższa niż liczba wnuków. Wyniki spisu 2021 pokazują, że najmniej korzystna sytuacja w tym zakresie jest w województwie świętokrzyskim (146 dziadków na 100 wnuczków), łódzkim (143) oraz opolskim (138)". Spośród urodzonych w 1981 roku 30% kobiet i ok. 33% mężczyzn nie ma dzieci, w kolejnych rocznikach jest jeszcze gorzej, a równocześnie wydłużyła się długość życia. Współczynnik dzietności w 2024 roku spadł do 1,1 (warunkiem zastępowalności pokoleń jest wartość 2,1). Długość życia mężczyzn wynosi dziś średnio 74,9 lat (w roku 1960 – równo 10 lat mniej), kobiet 82,3 (w 1960 – 70,6). Wszystko to sprawia, że szybko staniemy się najstarszym społeczeństwem Europy, krajem starych ludzi. Oczywiście nie na długo, bo później (jeśli trend zostanie zachowany, zapewne za dwieście lat) nie będzie nas już wcale. Tym samym polityka senioralna, która w dokumentach pojawiła się dopiero po 2010 roku, stanie się najważniejszą agendą państwa.

> OSOBY STARSZE, CZĘSTO W SWOICH DOMACH I MIEJSCOWOŚCIACH CORAZ BARDZIEJ SAMOTNE, NARAŻONE SĄ NA WYKLUCZENIE W SPOSÓB ZWIELOKROTNIONY.

eprasa.pl 3489c50c38

Już nikt nie będzie mógł powiedzieć jak Joanna Mucha, że „starsi ludzie są przyzwyczajeni do traktowania wizyt u lekarza co dwa tygodnie jako rozrywki”. Polityka zdrowotna obejmuje w ostatnich latach darmowe leki dla seniorów, jednak rząd zaczyna zastanawiać się nad ograniczeniem listy z powodu rzekomego marnotrawstwa leków wśród najstarszych pacjentów. Jak bumerang wraca też temat podniesienia wieku emerytalnego.

SYSTEM EMERYTALNY PRZESUNĄŁ DUŻĄ CZĘŚĆ RYZYKA Z PAŃSTWA NA JEDNOSTKĘ, CO BUDZIŁO NARASTAJĄCĄ FRUSTRACJĘ.

Potrzebna reprezentacja

Państwowa polityka senioralna pełna jest modnych haseł o aktywizacji, natomiast realizacja takich zadań przerzucana jest na samorządy i organizacje pozarządowe. Jak w wielu innych dziedzinach kluczowe są tu programy, dotacje i granty, które spływają do podmiotów odpowiedzialnych za rozmaite domy seniora czy uniwersytety trzeciego wieku. Samotnym najstarszym pomagają organizacje w rodzaju Małych Braci Ubogich. Seniorzy nie szukają jednak na razie własnej reprezentacji politycznej, głosy dzieląc między duże partie polityczne. W takiej sytuacji działalność istniejącej od początku lat 90. Krajowej Partii Emerytów i Rencistów jest raczej ciekawostką, nie – istotną informacją o polskiej scenie politycznej. Jej największym samodzielnym sukcesem było zdobycie prawie 285 tysięcy głosów w wyborach w 1997 roku. W 2001 roku lider KPEiR wszedł nawet do Sejmu z listy SLD, jednak szybko opuścił klub tej partii. W ostatnich latach działacze ugrupowania wspierali rozmaite partie, czasem niemal równocześnie przystępując do różnych koalicji, np. w 2018 roku zasilili zarówno listę tworzącą się na kolejne wybory wokół SLD, jak i powołaną wówczas Koalicję Obywatelską. Po 2020 roku Krajowa Partia Emerytów i Rencistów nie brała już udziału w żadnych wyborach.

Tymczasem seniorzy potrzebują swojej politycznej reprezentacji, zwłaszcza w czasach dominacji liberalnego podejścia do państwa. W poprzednim numerze „TS” pisaliśmy o problemach polskiej prowincji i rozmaitych formach wykluczenia dotykających jej mieszkańców. Trzeba pamiętać, że osoby starsze, często w swoich domach i miejscowościach coraz bardziej samotne, narażone są na wykluczenie w sposób zwielokrotniony. Brak skomunikowania miejsca zamieszkania z większym ośrodkiem utrudnia załatwienie spraw urzędowych, wizytę u lekarza czy nawet udział w życiu politycznym. Zmniejsza się dostępność opieki medycznej i szpitali. W ostatnich dniach duże poruszenie wywołał krążący po mediach, autentyczny obrazek z Dąbrowy Górniczej. W mieście tym funkcjonuje program „Obiad dla seniora”, na który zapotrzebowanie gwałtownie wzrosło. „Seniorzy stali na mrozie, by zjeść ciepły obiad. Nie wszyscy się załapali” – donosi „Dziennik Zachodni”. Oby ten kłębiący się na zimnie tłum głodnych, zdesperowanych starszych ludzi nie stał się normą ani wróżbą na najbliższe lata. S

WYSTĘP MICHALSKI



eprasa.pl 3489c50c38

Starość w Polsce ma model klasowy



Fot. www.prezydent.pl

– Osoby z wyższym wykształceniem mają trochę inne oczekiwania wobec własnej starości od osób pracujących fizycznie, wśród których panuje większy tradycjonalizm myślenia. Babcia lub dziadek wykonujący całe życie wolny zawód, posiadający pieniądze, mają mniej czasu na opiekę nad wnukami, ponieważ na emeryturze jeszcze realizują swoje pasje i zainteresowania – mówi prof. **Piotr Szukalski** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

– „Głęboki kryzys demograficzny", „rodzi się nas najmniej od 200 lat" – wiemy to, ale czy państwo i gospodarka próbują odpowiadać na te wyzwania w sposób praktyczny, aktywizując seniorów?

– Władze publiczne zdają sobie sprawę z problemu, lecz sposoby radzenia sobie z tymi wyzwaniami nie zawsze są adekwatne. Od propozycji podwyższenia wieku emerytalnego do zachęcania starszych pracowników do aktywności zawodowej poprzez na przykład korzystne opodatkowanie dochodów po uzyskaniu wieku emerytalnego, jeśli chce się pracować, zwłaszcza gdy nie pobiera się świadczenia emerytalnego. To również możliwość łączenia świadczenia emerytalnego z płacą do pewnego poziomu. Pojawiła się także moż-

eprasa.pl 3489c50c38

liwość uzyskania wsparcia ze strony urzędu pracy przez osoby osiągające już wiek emerytalny, a poszukujące pracy. Zatem władze publiczne, niezależnie od opcji politycznej, widzą te wyzwania.

– Bardzo często wygląda to podobnie, ale musimy sobie zdać sprawę, że tym, co wyróżnia nas na tle innych krajów Europy, jest słabo upowszechniona praca w niepełnym wymiarze godzin. W krajach, w których występuje wysoki odsetek osób aktywnych zawodowo 65+, umożliwia się aktywność zawodową pracownikom w sposób mniej obciążający.

MAMY USTAWĘ O SZCZEGÓLNEJ OPIECE GERIATRYCZNEJ, KTÓRA NIE JEST WDRAŻANA TYLKO DLATEGO, ŻE KOLEJNI MINISTROWIE ZDROWIA NIE WYDAJĄ ROZPORZĄDZEŃ WYKONAWCZYCH.

– Widziałem lata temu w Paryżu policjanta, który miał na pewno 70 lat i kierował ruchem ulicznym. Może mentalnie mamy w głowach granice, które nie pozwalają nam widzieć wysoko funkcjonujących pracowników nie tylko w wieku 50 lat, ale też 60 i więcej?

– Powiedziałbym inaczej – żyjemy w kraju o bardzo rozbudowanej kulturze niskiego wieku emerytalnego. Tutaj odwołam się do badań, które realizujemy w Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych w projekcie „Przygotowanie do starości. Polacy w wieku przedemerytalnym o swojej starości". W ramach projektu pytaliśmy osoby, które mają nie więcej niż dziesięć lat do emerytury, jakie mają plany związane z przechodzeniem na emeryturę. Nieliczni deklarują, że chcą pracować dłużej, niż jest to potrzebne, by osiągnąć emeryturę. Zdecydowana większość jednoznacznie stwierdzała, że chce iść najszybciej na emeryturę, jak tylko się da.

– Jak to wygląda w innych krajach europejskich?

– Wielokrotnie zwracał Pan uwagę, że programy planowania kariery w Polsce czy lepszego startu skupione są raczej na młodym pokoleniu. Faktycznie targi pracy i aktywizacji seniorów to branża, która zaczyna dopiero raczkować.

– W Polsce brakuje kultury zarządzania wiekiem. Są firmy, i coraz częściej są to podmioty publiczne, które zdają sobie sprawę z konieczności zarządzania wiekiem, ale dzieje się to tylko dlatego, że w sektorze publicznym przewagę stanowią pięćdziesięciolatkowie i starsi pracownicy. Nauczyciele, lekarze, pielęgniarki, urzędnicy i długo by można wyliczać. Szefowie w tych branżach zdają sobie sprawę, że nie da się zastąpić szybko odchodzących wykwalifikowanych pracowników nowymi. By zapewnić ciągłość funkcjonowania, potrzeba znających się na pracy ludzi, a w administracji publicznej zarobki są mniejsze niż na prywatnym rynku. Stąd coraz częściej szefowie zaczynają rozmawiać, pytać pracowników przed emeryturą, jakie mają dalsze plany i jak można ich zachęcić do pozostania na dotychczasowym stanowisku.

– Jak powinna wyglądać kultura zarządzania wiekiem w naszych warunkach?

– Przede wszystkim musimy zaznaczyć, że to jest coś, co jest niezwykle korzystne również dla firm. Każda firma powinna być zainteresowana tym, by nie pojawiły się w niej nagle problemy kadrowe, kiedy np. w jednym roku 5–7% pracowników przechodzi na emeryturę i na szybko trzeba wejść w proces rekrutacji i szkolić nowych pracowników. Każda firma posiada informacje o strukturze wieku swoich pracowników i to nie jest wielka sztuka, by porozmawiać z pracownikiem mającym pięć lat do emerytury, jak widzi swoją przyszłość, czy, jak długo i w jakim wymiarze czasu pracy chciałby kontynuować zatrudnienie

JEŚLI W DWÓCH POKOLENIACH POJAWIA SIĘ DZIECKO W WIEKU 32–35 LAT, TO STAJEMY SIĘ BABCIAMI LUB DZIADKAMI W WIEKU 65–70 LAT.

eprasa.pl 3489c50c38

po osiągnięciu wieku emerytalnego, czy go w ogóle będzie stać na życie na emeryturze w przypadku przejścia na nią w ustawowym wieku.

– Może brakuje ludzi, szkoleń dotyczących właśnie tych zagadnień?

– Zależy gdzie, duże międzynarodowe firmy działające w Polsce czerpią wzorce z Zachodu i takie rozmowy, polityka zarządzania wiekiem w firmie już funkcjonują. Jestem pewien, że wszystkie szpitale w Polsce stosują zarządzanie wiekiem. Dyrektorzy szkół stosują to często intuicyjnie, wiedząc, że mogą ich czekać braki kadrowe.

– Gdzie takie wzorce są najlepiej wypracowane?

– Francja wprowadziła wręcz obowiązek zarządzania wiekiem, od którego można się zresztą wykupić, opłacając specjalny rządowy fundusz wspierający starszych pracowników. Ale zasadniczo duże firmy powinny wdrażać zarządzanie wiekiem. We francuskiej ustawie zapisane są pewne wymogi dotyczące sporządzenia piramidy wieku, rozmów z pracownikami, w czasie których pyta się ich o gotowość do zatrudnienia po osiągnięciu wieku emerytalnego w pełnym lub częściowym wymiarze godzin. To sprawia, że pracodawca i pracownik wiedzą, co ich czeka w przyszłości. Pracodawca może planować politykę zatrudnienia, a pracownika może skalkulować, czy będzie mógł żyć z emerytury, czy będzie musiał dorobić, a jeśli tak, to w jakim wymiarze.

STARSI PRACOWNICY POSIADAJĄ PEWNĄ PRZEWAGĘ NAD MŁODYMI W POSTACI KOMPETENCJI MIĘKKICH.

– Mówią, że żyjemy coraz dłużej, ale naprawdę wydłuża nam się starość. Jak zmienia się oblicze starości w Polsce? Jak babcie i dziadkowie, którzy niebawem będą obchodzić swoje święto, postrzegają ten okres życia?

– Zmiany wzorców zachowań rozrodczych sprawiają, że stajemy się coraz później dziadkami i babciami. Ma to swoje konsekwencje, łatwiej pięćdziesięciolatkowi sprawować obciążającą fizycznie opiekę nad wnukami niż sześćdziesięciolatkowi lub jeszcze starszym dziadkom. W Polsce pojawia się coraz liczniejsza grupa osób, która staje się bardzo późno dziadkami, jeśli w dwóch pokoleniach pojawia się dziecko w wieku 32–35 lat, to stajemy się babciami lub dziadkami w wieku 65–70 lat.

– A jak zmienia się rola babci i dziadka?

– Zmienia się bardzo, ale często zapominamy, że statystycznie bardzo wzrósł odsetek ludzi wykształconych. W latach 50., 60., 70. młodzi ludzie nie kończyli tylko szkoły podstawowej, ale szli do zawodówek, do szkół średnich, część szła na studia. Na początku lat 90. nastał boom na studia wyższe i te pokolenia, które dzisiaj dochodzą do sześćdziesięciu lat, są coraz lepiej wykształcone. Ludzie z wyższym wykształceniem mają trochę inne oczekiwania wobec własnej starości. Zwiększa się odsetek osób, które chcą jeszcze trochę pożyć i coś zobaczyć. We wspomnianych przeze mnie badaniach Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych większość badanych mówiła, że prawdziwa starość zaczyna się ok. 10 lat po przejściu na emeryturę, a przez te dziesięć lat bardzo chcą jeszcze skorzystać z etapu, w którym są jeszcze w miarę zdrowi i mają już wolny czas. Ta chęć „zaszalenia”, żeby „jeszcze trochę pożyć”, bardzo silnie nam wybrzmiała.

NIE SĄDZĘ, BY USŁUGA CZY SPRAWA PROWADZONA PRZEZ SZEŚĆDZIESIĘCIOLETNIEGO URZĘDNIKA BYŁY Z DEFINICJI GORSZE OD TYCH ŚWIADCZONYCH PRZEZ TRZYDZIESTOLATKA.

– A jaki jest ideał dzisiejszych dziadków?

– Oj, ciężko powiedzieć. Musiałby się Pan zapytać pięciolatków, którzy już potrafią powiedzieć „mój ukochany dziadek”, „moja ukochana babcia”. Jeden ze znanych demografów Jerzy Z. Holzer napisał kiedyś, że „Pan Bóg nie może być wszędzie, dlatego stworzył babcię, by mogła w Jego imieniu przytulić wnuki”.

eprasa.pl 3489c50c38

– Będziemy społeczeństwem ludzi starszych, będziemy obsługiwani przez coraz starszych pracowników i urzędników, sami będziemy obsługiwać starszych. Jak to wpłynie na jakość obsługi?

– Nie sądzę, by usługa czy sprawa prowadzona przez sześćdziesięciolatka były z definicji gorsze od tych świadczonych przez trzydziestolatka. Nie spodziewajmy się jednocześnie, że nagle w gospodarce pojawią się pracujący osiemdziesięciolatkowie. Raczej będzie to wyglądało w ten sposób, że coraz częściej ludzie będą przedłużać swoją aktywność zawodową o rok, dwa lub trzy. Powiem więcej, starsi pracownicy świadczący usługi posiadają pewną przewagę nad młodymi w postaci kompetencji miękkich. Im łatwiej przeprowadzić small talk, mają więcej zrozumienia dla interesanta. Kiedy ktoś ich poprosi, by powtórzyli, wytłumaczyli, poświęcili więcej czasu, oni mają na to więcej gotowości niż młodzi pracownicy, bo sami się z tym borykają. Swego czasu jeden z niemieckich banków przeprowadził takie badania i okazało się, że starsi klienci, jeśli mają do wyboru kilka okienek, to preferują to, przy którym jest starszy obsługujący, właśnie z uwagi na wspomniane większe zrozumienie jego sytuacji.

– Ale ten limes procesu wycofywania się z absorbujących ról społecznych i wchodzenia w sfery bardziej pasywnych form życia ciągle nam się przesuwa.

– Owszem, ale musimy sobie zdawać sprawę, że ma on bardzo silny charakter klasowy, najbardziej się przesuwa w przypadku najlepiej wykształconych i najlepiej zarabiających. W zdecydowanie mniejszym stopniu przesuwa się wśród wykonujących najprostsze prace. Spowodowane jest to też tym, że ludzie pracujący wcześniej ciężko fizycznie są po prostu wyeksploatowani, poza tym panuje tutaj większy tradycjonalizm myślenia, jak powinna wyglądać starość. To są też różnice związane z relacjami w rodzinie. Babcia lub dziadek wykonujący całe życie wolny zawód, posiadający dużo pieniędzy, mają mniej czasu na opiekę nad wnukami, ponieważ na emeryturze jeszcze realizują swoje pasje i zainteresowania. Poza tym obserwujemy w Polsce migracje z mniejszych ośrodków do dużych miast i metropolii i nieraz wnuki widzą się z dziadkami jedynie kilka razy w roku.

– À propos, aktywność, rola społeczna seniora może także zależeć od miejsca zamieszkania.

– Dokładnie, to sfera możliwości. Duże miasta dają większy wybór znalezienia dodatkowego zajęcia, pracy czy rozrywki w wieku senioralnym.

– W Polsce obecnie pracuje 578 geriatrów, przy czym nie wszyscy są aktywni zawodowo. Tymczasem potrzebujemy ich aż 3000.

– Teoretycznie mamy ustawę o szczególnej opiece geriatrycznej, która od ponad dwóch lat nie jest wdrażana tylko dlatego, że kolejni ministrowie zdrowia nie wydają rozporządzeń wykonawczych. W tej ustawie są m.in. zapisy zachęcające do wybierania specjalności geriatrycznej. W bieżącym roku osiemdziesiątkę przekroczy pierwszy rocznik powojennego wyżu demograficznego. W ciągu kilkunastu najbliższych lat liczba osiemdziesięciolatków zwiększy się o ponad 80%. I niech ta ostatnia wielkość uświadomi nam skalę wyzwań.

OBSERWUJEMY W POLSCE MIGRACJE Z MNIEJSZYCH OŚRODKÓW DO DUŻYCH MIAST I NIERAZ WNUKI WIDZĄ SIĘ Z DZIADKAMI JEDYNIE KILKA RAZY W ROKU.

NIE SPODZIEWAJMY SIĘ, ŻE NAGLE W GOSPODARCE POJAWIĄ SIĘ PRACUJĄCY OSIEMDZIESIĘCIOLATKOWIE.

Dr hab. Piotr Szukalski – profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego, pracownik Katedry Socjologii Stosowanej i Pracy Socjalnej UŁ. Specjalizuje się w zagadnieniach z pogranicza demografii, gerontologii społecznej i polityki społecznej. Członek Rządowej Rady Ludnościowej i Rady ds. Polityki Senioralnej. Od 2008 r. członek z wyboru Komitetu Prognoz Polskiej Akademii Nauk i Komitetu Nauk Demograficznych PAN. Członek sekcji Polityka społeczna, rodzina Narodowej Rady Rozwoju w latach 2016–2020. Autor licznych publikacji.

eprasa.pl 3489c50c38

Niewidzialna praca babć i dziadków

Nawet jeśli nie jest to wypowiedziane wprost, starsi ludzie bywają dziś przedstawiani przede wszystkim jako **obciążenie i koszt**, który społeczeństwo musi ponieść, aby wciąż móc uważać się za wspaniałomyślne i hołdujące „humanistycznym wartościom". Jest to oczywiście wierutna bzdura. Babcia i dziadek tworzą bowiem swoistą instytucję, pełniącą jedną z kluczowych ról dla trwania (a często wręcz przetrwania) wspólnoty.

Ludwik Pęzioł



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 3489c50c38

Choć po przejściu na emeryturę dziadkowie mogliby uznać, że nadszedł czas egoistycznych, dożywotnich wakacji, zazwyczaj tak się nie dzieje. Pojawienie się wnuków nadaje ich życiu nowe znaczenie. Wyłaniają się zadania, których się podejmują, i to nie wyłącznie z poczucia obowiązku, lecz z miłością i wewnętrzną chęcią bycia potrzebnym. Wszystkich ról, jakie w ten sposób przyjmują, nie sposób pomieścić w ograniczonym formacie prasowego tekstu, ale warto wymienić przynajmniej te najważniejsze.

Dziadkowie jako łącznicy z dawnym światem

Prababcia opowiadała nam historię, jak w czasie II wojny światowej została w drodze do domu zatrzymana przez gestapo ze względu na swój „semicki" wygląd i uwięziona w piwnicy. Próbując przekonać Niemców, by ją wypuścili, powołała się na fakt, że jest chrześcijanką. Gdy jej nie uwierzono, zaczęła głośno odmawiać „Ojcze nasz", i w ten sposób ocaliła życie. Tego rodzaju opowieści przybliżają realia minionych epok w sposób, którego nie są w stanie oddać ani szkolne podręczniki, ani (nawet barwne) relacje literackie obcych nam autorów. Ożywiają suche fakty i czynią historię doświadczeniem osobistym. Nie dotyczy to zresztą tylko wielkich wydarzeń dziejowych. Dawna codzienność była jednym z ulubionych tematów dziadków. Słuchaliśmy opowieści o biedzie, klepisku zamiast podłogi, (jeszcze niezmechanizowanych) żniwach czy przedziwnych dziś zwyczajach, jak np. grabienie runa leśnego.

Kluczowym podziałem tych śladów przeszłości było pochodzenie dziadków: wiejskie lub miejskie. W pierwszym przypadku znakami dawnego świata bywały elementy gwary obecne w ich mowie, wywołujące w nas lekkie poczucie obcości. O regionalnej kreatywności religijnej starych czasów świadczyły z kolei unikalne wierzenia i pieśni, w których folklorystyczne zmyślenia przenikały się z chrześcijaństwem, wymykając się standaryzującym zapędom „biurokratycznego" aparatu duchowieństwa. Dochodziły do tego praktycze przedmioty wsi: możliwe do zobaczenia i dotknięcia naprawdę, a nie jedynie w skansenie: cepy do młócenia, kosy, skrzynie na zboże. Do dziś pamiętam swoje zdumienie, gdy odkryłem, że jeden z kolegów ze szkoły nigdy nie widział pieca kaflowego i nawet nie wiedział, czym on jest. Dla mnie był on stałym elementem domu dziadków i czymś zupełnie oczywistym.

Dziadkowie pochodzący z miasteczek z kolei chętnie opowiadali o tym, jak bardzo wszystko zmieniło się względem świata II Rzeczpospolitej, którą pamiętali z dzieciństwa. Jej słynna, dziś już nieco przegadana, „wielokulturowość" była dla nich realnym doświadczeniem – choćby codziennym widokiem rynku, na którym obok siebie handlowali Polacy, Rusini i Żydzi. Obok tych kulturowych krajobrazów pojawiały się też opowieści bardziej plotkarskie – historie o dobrze znanych nam członkach małomiasteczkowej wspólnoty, często z pikantnymi szczegółami, o których nigdy byśmy nie pomyśleli. Nadawało to tym postaciom nowe wymiary i zaskakujące cechy: kto był czyją „sympatią" w młodości, kto od kogo „dostał kosza", kto dorabiał się w szemrany sposób, a kto pomagał wszystkim wokoło. Dziadkom język na te tematy rozwiązywał się często chętniej niż na inne i bywało, że rykoszetem jakąś kompromitującą opowiastką oberwał rodzic, boleśnie odczuwając, jak kruszeje jego majestat. To właśnie w tych pozornie drobnych opowieściach dokonywała się cicha praca podtrzymywania ciągłości świata, w którym dzięki dziadkom linia naszego czasu nie kończyła się zionącą czarną dziurą.

Wsparcie rodziców

Pojawienie się dziecka na świecie to dla pary „drugi etat". Pomoc w tym okresie bywa nieoceniona, a zakochani we wnuczęciu dziadkowie potrafią być w jej udzielaniu skuteczniejsi niż najbardziej profesjonalna niania. Dla wielu młodych rodzin wsparcie dziadków stanowi wręcz kwestię „być albo nie być": czy to w wymiarze finansowym, czy w kontekście utrzymania stabilnej więzi uczuciowej, która bez tej pomocy łatwo może utonąć w chaosie codziennych obowiązków. Wyrozumiała babcia potrafi czasem nawet przejąć stery na wieczór i wypuścić rodziców na małżeńską randkę, by uczucie nie rozpadło się pod naporem zmęczenia i nerwówki.

DLA WIELU MŁODYCH RODZIN WSPARCIE DZIADKÓW STANOWI WRĘCZ KWESTIĘ „BYĆ ALBO NIE BYĆ": CZY TO W WYMIARZE FINANSOWYM, CZY W KONTEKŚCIE UTRZYMANIA STABILNEJ WIĘZI UCZUCIOWEJ.

eprasa.pl 3489c50c38

Wszystko to odbywa się ku wielkiej radości dziecka. O ile w relacji z rodzicami miłość bywa przykryta warstwą napięcia wynikającego z desperackiego godzenia pracy, prowadzenia domu i innych zobowiązań, o tyle dziadkowie (zwykle dysponujący luźniejszym „grafikiem") mogą cieszyć się kontaktem z wnukiem w sposób mniej skażony codzienną bieżączką.

Nauczyciele życia i odchodzenia

Babcie i dziadkowie często próbowali wciągać oddanego pod ich opiekę wnuka w swoje codzienne zajęcia, i co zaskakujące, zazwyczaj robili to w taki sposób, że dziecko cieszyło się, zamiast traktować to jak przykry obowiązek. Karmienie kur, zbiory w sadzie, przekopywanie grządek, zakupy, drobne prace gospodarskie czy nawet

> DZIADKOWIE CZĘSTO PRÓBOWALI WCIĄGAĆ WNUKI W SWOJE CODZIENNE ZAJĘCIA I ZAZWYCZAJ ROBILI TO W TAKI SPOSÓB, ŻE DZIECKO CIESZYŁO SIĘ, ZAMIAST TRAKTOWAĆ TO JAK PRZYKRY OBOWIĄZEK.

Być może właśnie dlatego tak często dobrze wspominamy ich wizyty – jako czas czystej radości. Nierzadko wiązały się one z lekkim poluzowaniem rygorów; dziadkowie lubią dziecku trochę „popuścić". Po co zabraniać, niech się cieszy; konsekwencje i tak poniosą rodzice.

Bardziej skomplikowana bywa kwestia wychowawczego know-how przekazywanego przez dziadków. Mieszają się w nim rady trafne, oparte na doświadczeniu i pozwalające rodzicom uniknąć wielu błędów, z poradami przestarzałymi, bazującymi na mitach – jak choćby przekonanie, że karmiąca piersią matka nie powinna jeść truskawek, bo pestki „zatykają kanaliki mleczne". Trzeba uczciwie przyznać, że obszar porad wychowawczych to pole gęsto najeżone minami (co najmniej przeciwczołgowymi), a mądrzy dziadkowie wiedzą, którymi ścieżkami warto tu ostrożnie dreptać i kiedy się zatrzymać.

wyszywanie były czystą przyjemnością. Na czym polegała tajemnica tego, że praca (choćby nieznacząca, a czasem nawet tylko udawana) była miła – nie potrafię dziś w pełni wyjaśnić. Faktem jest jednak, że można się było od nich nauczyć naprawdę wiele: nie tylko konkretnych umiejętności, lecz także cierpliwości, rytmu pracy i wagi, jaką ma atmosfera przy jej wykonywaniu.

Ta nauka nie dotyczyła jednak wyłącznie spraw przyziemnych, lecz także kwestii ostatecznych. Krótsze lub dłuższe towarzyszenie dziadkom nieuchronnie obejmowało również ich ostatnią drogę. Pamiętam prababcię, która (jak w wielu domach o mniej nowoczesnych obyczajach) kończyła swoje życie na łóżku, pod opieką swojej córki, a mojej babci. Zarówno zmiany cielesne (była wówczas drastycznie wychudzona), jak i umysłowe, których byliśmy świadkami, stanowiły lekcję filozofii dalece przewyższającą filozofię „czytaną". A że babć i dziadków było wielu, różnorodne były także sposoby odchodzenia, z jakimi mogliśmy się zetknąć – często już w młodym wieku. Dramatycznie rozciągnięte w czasie, niespodziewane, katastroficzne czy te nazywane „dobrą śmiercią". Wszystkie one oswajały nas z faktem, że nie wiemy, który wariant przypadnie nam w udziale. I choć łatwo wyobrazić sobie kogoś organizującego płatne „warsztaty umierania", żadna taka inicjatywa nie prześcignie doniosłości tej cichej, niezamierzonej nauki.

Zbierając to wszystko razem, warto powiedzieć jasno: babcie i dziadkowie nie są społecznym obciążeniem, lecz przywilejem – może trudniejszym do dostrzeżenia w epoce, w której liczy się wydajność, produktywność i mierzalny zysk, a bardziej subtelne formy pożyteczności stają się niewidzialne. To oni podtrzymują ciągłość doświadczenia, uczą sensu poza rachunkiem ekonomicznym i amortyzują brutalność świata, zanim ta zdąży dotknąć najmłodszych.

> OBSERWOWANIE „OSTATNIEJ DROGI" DZIADKÓW STANOWI LEKCJĘ FILOZOFII DALECE PRZEWYŻSZAJĄCĄ FILOZOFIĘ „CZYTANĄ".

eprasa.pl 3489c50c38

KARUZELA BLOGERAMI

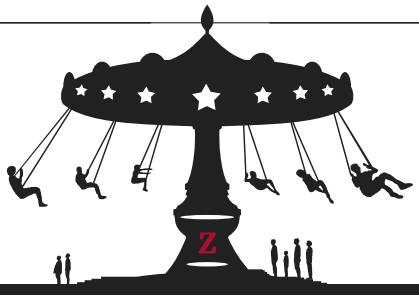

SEAMAN

SÓL ZIEMI TOTALNEJ

Jeśli chodzi o Zbigniewa Ziobrę, to na nic jego wybiegi, ukrywanie się, azyl polityczny i ochrona międzynarodowa. Nie umknie paragrafom, dopadnie go walcząca demokracja – jej koryfeusze deklarują, że mogą go przywieźć do kraju nawet w bagażniku. Bo „służby na całym świecie tak robią", twierdzi minister Waldemar Żurek, a to przecież światowiec. W domyśle pozostawia domniemanie, że prawo międzynarodowe na takie hopsztosy pozwala. Zwolennicy to łykną, lata intensywnej tresury, od przemysłu pogardy Janusza Palikota do zadekretowanego systemu łgarstwa premiera Donalda Tuska, nie poszły na marne.

Figury retoryczne

W przypadku Ziobry furda konwencje, do kąta praworządność, olewać prawa obywatelskie. I mówią to bez żenady, jakby nie chodziło o zarzuty wobec polityka, o których absurdalności sami nie wątpią, lecz o jakiegoś ludobójcę w rodzaju Eichmanna czy innego Berii. Oczywiście, gdy dziennikarze dociskają ministra, to taka deklaracja przywiezienia Ziobry w bagażniku zamienia się w „figurę retoryczną w mowie potocznej". Taka przenośnia po prostu, jak te obietnice przedwyborcze Koalicji 13 grudnia.

Dyktator na piedestale

Natomiast jeśli chodzi o Nicolasa Madurę, prezydenta-dyktatora Wenezueli, narkotykowego mafiosa, a także tyrana i zbrodniarza, to prawo międzynarodowe jest jednoznaczne, twarde i ostre niczym topór drwala – nie można go aresztować ani ukarać bez sądu, tym bardziej przywieźć w bagażniku. Nawet w samolocie nie można go umieścić, konwencje obowiązują, immunitety chronią, obrońcy praw człowieka czuwają. Nic to, że reżim Madury był zaprzeczeniem praw człowieka, praworządności, demokracji, wreszcie synonimem zbrodniczej dyktatury. Jednak z drugiej strony, czego innego można się spodziewać po pogrobowcach dyktatury proletariatu?

Czwarta Międzynarodówka

Na czele obrońców prezydenta-dyktatora stanął – a jakże! – ruski dyktator, który dla niepoznaki ogłosił solidarność z wenezuelskim narodem. Za latynoamerykańskim tyranem ujęli się także polscy strażnicy prawa międzynarodowego, bo to „poważne naruszenie Karty Narodów Zjednoczonych", a także „amerykańska agresja" oraz „prawo silniejszego". Z kolei rodzimi politykierzy przyrównywali akcję ujęcia i postawienia przed sądem bandyty do ludobójczych praktyk Rosjan na Ukrainie, a prezydenta Donalda Trumpa do Putina. Najbardziej wyrafinowani pisali o „imperializmie jankeskim".

Mecenas i poseł Roman Giertych zmartwił się, że prawo międzynarodowe nic nie znaczy dla Trumpa. No, ale jego można zrozumieć, on utwardza elektorat spod znaku ośmiu gwiazdek i podpisu w formie trzech krzyżyków. Zresztą polski rząd też zatroskał się „destabilizacją prawa międzynarodowego", bo przecież gdy Maduro jako prezydent w najlepsze praktykował tyranię i gangsterkę, to prawo międzynarodowe było stabilne niczym skała liberalnej demokracji, obok której zbudowano reżim Madury. Przez ten ogólny frasunek ledwo przebiła się opinia profesora Zbigniewa Lewickiego, że „prawo międzynarodowe to pewnego rodzaju konwencja, do której państwa mogą się stosować, ale nie muszą".

Stosunek do amerykańskiej akcji ujęcia i postawienia przed sąd zbrodniczego dyktatora stał się papierkiem lakmusowym światopoglądowej przynależności, choć już wcześniej wiedzieliśmy, czego spodziewać się od wyznawców tzw. liberalnej demokracji. To nowy totalitaryzm, który wmawia nam, że jest antytotalitaryzmem. Dla nich prawda jest mową nienawiści, a racje moralne burżuazyjnym przeżytkiem. Ich poglądy są zawstydzająco niespójne, za to zawsze – ale to zawsze! – wywodzą się z najlepszych intencji. Chcą nam po prostu założyć klapki na oczy, dlatego warto pamiętać, co napisał klasyk: mamy do czynienia z zestawem, w którym znajdują się także uzda i bat... S

eprasa.pl 3489c50c38

(Nie)łatwo być dziadersem

Z niejakim zdziwieniem zauważyłem, że gdy oglądam seriale familijne, to **identyfikuję się z dziadkami**. Złapałem się na tym przy seansie „Współczesnej rodziny" (zdecydowanie polecam! Szalenie zabawne), gdzie głową rodziny jest Jay Pritchett.

Igor Zalewski



Fot. Adobe Stock

To zrzędliwy starszy pan, który narzeka na nadopiekuńczość i delikatność współczesności, ma problemy z obsługą fikuśnych kranów w ekskluzywnych toaletach i z rozrzewnieniem wspomina epokę Ronalda Reagana – oczywiście ze szklaneczką szkockiej w ręku. Jay ma pewne problemy z nowoczesnymi technologiami – na przykład nie widzi różnicy między podwójnym kliknięciem a dwoma oddzielnymi kliknięciami. Ma też dorosłego syna w gejowskim związku, który próbuje – z sukcesami, ale nie bez problemów – zaakceptować. Od czasu do czasu zadaje pytanie, dlaczego nikogo nie interesuje jego samopoczucie wynikające z tej sytuacji. No i wreszcie ma znacznie młodszą żonę, niebywałej atrakcyjności Kolumbijkę, która dość szybko zaczyna nim rządzić. Złośliwi twierdzą, że moja słabość do Jaya to tak naprawdę słabość do Glorii. Niniejszych chciałbym to zdementować.

Stan umysłu

Nie jest może tak, że z radością wziąłbym udział w przeglądzie filmów z Charlesem Bronsonem czy Lee Marvinem, ale Jay Pritchett to postać jakoś mi bliska. Nie ze względu na wiek, bo mam 55 lat i wojny w Wietnamie nie pamiętam. Mój Wietnam to zaledwie stan wojenny. Nieszczególnie też marzę o wnukach, bo raz, że wychowuję nadal syna, a dwa – wiem, co się przydarzyło Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, gdy w TVN24 ośmielił się bąknąć, że nie może się już doczekać dziadkowania. Postępowy dziennikarz zrugał byłego prezydenta za niestosowne zachowanie polegają-

eprasa.pl 348[illegible]

ce na wywieraniu presji na córkę. Co, jak wiadomo, jest zagraniem rodem ze średniowiecza albo i gorszych czasów, jeśli tylko takie istniały (a istniały: lata 2015–2023 w Rzeczpospolitej Polskiej).

Ale wyrażana przez Jaya lekka tęsknota za dawnym kształtem świata zakiełkowała we mnie już jakiś czas temu. Zrozumiałem, że nie tylko jestem mentalnym dziadkiem, ale po prostu dziadersem. Muszę przyznać, że lubię ten neologizm – rozumiem, że z założenia miał być pogardliwy, ale ja uważam go za całkiem celny i dowcipny. Skądinąd i na marginesie: dopiero co wpychano mnie w mediach do środowiska pampersów (określenie też miało być złośliwe i też się przyjęło), a już jestem dziadersem. Czas szybko leci, panie dzieju.

NEOLOGIZM „DZIADERS” Z ZAŁOŻENIA MIAŁ BYĆ POGARDLIWY, ALE JA UWAŻAM GO ZA CAŁKIEM CELNY I DOWCIPNY.

Tęsknota za białkowym interfejsem

Współczesność jest niby życzliwa dla tak zwanych seniorów. Wszędzie, gdzie tylko można, wykuto w deklaracjach i zasadach, że ich głos ma być ważny, a życie maksymalnie ułatwiane. Najczęściej to jednak tylko frazesy, o czym przekonuje się nieustannie moja mama, która jest cyfrowo wykluczona i z niejakim lękiem przechodzi przez kontakty z wirtualnymi asystentami i rozmaitymi elektronicznymi utrudniaczami, którzy de facto mają jedno zadanie: obrzydzić albo najlepiej uniemożliwić kontakt z realnym człowiekiem. Tak zwany interfejs białkowy (inaczej homo sapiens) jest znacznie droższy niż algorytm, więc oszczędza się go nam, ile się da. Efekt jest prozaiczny, ale jednak smutny – starsi ludzie, tacy jak moja mama, są przerażeni kontaktem z nibyludźmi i czują się obco w niby przychylnej im rzeczywistości. A zresztą: załatwianie sprawy z logarytmem jest wkurzające dla człowieka w każdym wieku (no, może z wyjątkiem zetek – dla nich wkurzający jest kontakt z ludźmi).

Bąk w salonie

Gorzej jest jeszcze, gdy w jakiejkolwiek sprawie zajmuje się staroświecki punkt widzenia. Przekonał się o tym nawet Aleksander Kwaśniewski, gdy zająknął się o wnukach. Współczesny świat jest niesamowicie zainteresowany dobrostanem właściwie wszystkich. Ich emocje, uczucia, potrzeby są ważne. No chyba że to starsi ludzie, którzy myślą po staremu. I ośmielają się artykułować swoje emocje i oczekiwania. Wtedy jest tak, jakby puścili bąka w salonie. Nagle z grupy, o którą trzeba dbać, zamieniają się w czarnego bohatera socjologicznych opowieści, które snuje profesor Radosław Markowski – człowiek, który skądinąd opłaca ich emerytury, co jednoznacznie wynika z jego niezrównanych wywodów. Jay Prtichett bardzo stara się zaakceptować partnera swojego syna i ich adoptowane dziecko, ale kiedy tylko wspomina o tym, że ta walka nie jest łatwa i pewnymi rzeczami trudno mu się zachwycić od razu (na przykład gejowskim ślubem i weselem), „współczesna rodzina” natychmiast kręci z dezaprobatą głową. Innych oceniać nie wolno. Jego – jak najbardziej.

Dobry senior – młody senior

Kolejny problem jest taki, że współczesność kocha seniorów i nieba by im przychyliła, ale sam akt starzenia się i wynikające z niego konsekwencje są według niej (współczesności) raczej obrzydliwe. Dobry senior to młody senior. To senior, którego nic nie boli, więc skacze ze spadochronem, pływa na desce surfingowej, uprawia triatlon albo przynajmniej jest DJ-em czy DJ-ką na imprezach techno. Trudno nie zauważyć, że popkultura – ze szczególnym uwzględnieniem reklam i pism kobiecych – wmawia nam taką dziarską, nie do końca realistyczną wizję jesieni życia. Sześćdziesiątka to nowa pięćdziesiątka, siedemdziesiątka to nowa sześćdziesiątka.

WSPÓŁCZESNOŚĆ JEST NIBY ŻYCZLIWA DLA TAK ZWANYCH SENIORÓW. WSZĘDZIE, GDZIE TYLKO MOŻNA, WYKUTO W DEKLARACJACH I ZASADACH, ŻE ICH GŁOS MA BYĆ WAŻNY, A ŻYCIE MAKSYMALNIE UŁATWIANE.

eprasa.pl 3489c50c38

Czy może na odwrót, ale gubię się nieco w coachingowych tytułach z miesięczników dla pań. Starość to stan świadomości plus lata zaniedbań polegających na zbyt rzadkim chodzeniu na siłownię. Wystarczy więc mieć silną psychikę i dobry karnet do klubu fitness.

Tych superaktywnych seniorów nie dotyczy już prastare powiedzenie, że jeśli po czterdziestce budzisz się i nic cię nie boli, to znaczy, że nie żyjesz. Ich, cholera, nigdy nie boli, a na śniadanie zdobywają Mount Everest. Ci nadludzie karmią się sportami ekstremalnymi i hałasem z koncertów niczym Frankenstein piorunami. Cóż, pewnie tacy herosi istnieją, ale jednak nie każdy może być Mickiem Jaggerem, o czym boleśnie przekonał się ostatnio Kazik Staszewski, którego ogromnie lubię i poważam. Ale kiedy po zmieszaniu leków i wódki bełkotał na scenie w Zielonej Górze, publiczność nie miała dla niego litości. Sam Kazik słusznie i samokrytycznie zauważył, że zamienił się we własną karykaturę. To przykre, ale na jednego Jaggera przypadają setki, a może i tysiące Kazików.

Uwaga! Są też pułapki

No właśnie. Jeśli jako początkujący, ale dumny dziaders miałbym wymienić pułapki, jakie zastawia na nas nowoczesny świat, to owa presja nieulegania entropii jest najgłębsza. To zdecydowanie utrudnia godne starzenie się, czego najlepszym przykładem są aktorki i dziennikarki, które tocząc rozpaczliwą walkę z procesem – z góry skazaną na przegraną – przestają być podobne do samych siebie. Na przykład Sandra Bullock to była ładna kobieta, ale w bezlitosnym boju o zachowanie swej urody uczyniła z siebie jakieś plastikowe monstrum. To szaleństwo zresztą dotarło do Polski i każdy zapewne przyzna mi rację, gdy przypomni sobie pewną wiekową już dziennikarkę, która tak bardzo stara się być młoda i ponętna, że wygrałaby dziś casting do filmu Felliniego o przerysowanej burdel mamie.

> TRUDNO NIE ZAUWAŻYĆ, ŻE POPKULTURA – ZE SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM REKLAM I PISM KOBIECYCH – WMAWIA NAM TAKĄ DZIARSKĄ, NIE DO KOŃCA REALISTYCZNĄ WIZJĘ JESIENI ŻYCIA.

Najtrudniejsza ze sztuk

Tę obsesję na punkcie wieku i wyglądu mistrzowsko pokazał Terry Gilliam (autor animacji z trupy Monty Pythona) w tyleż wybitnym, co niedocenianym filmie „Brazil". W tej naprawdę dotkliwej antyutopii pojawia się motyw dwóch pań, które przechodzą kuracje odmładzające. Pierwsza – matka głównego bohatera – wybiera swego rodzaju masaż skóry (ta scena zostaje w pamięci) i staje się coraz piękniejsza, lat jej ubywa, aż wreszcie wygląda znacznie młodziej od swego syna, a gęstniejący tłum jej adoratorów agresywnie odgradza go od matki. Jej koleżanka idzie inną drogą: wybiera skalpel. Na jej twarzy i ciele pojawia się coraz więcej bandaży, ale ona się nie poddaje, aż wreszcie dosłownie rozsypuje się w proch. Trudno powiedzieć, która wizja jest bardziej przerażająca.

Trzeba zarazem przyznać, że głos rozsądku przychodzi z nieoczekiwanej strony. Być może kojarzycie seksbombę przełomu wieków Pamelę Anderson. Otóż ona ostatnimi czasy zupełnie zmieniła image. Porzuciła wyzywające stroje i ostry makijaż, przestała układać włosy i – szczerze mówiąc – nigdy wcześniej nie wyglądała tak atrakcyjnie. To dziwne, ale to właśnie ona opanowała sztukę godnego starzenia się. Najtrudniejszą ze sztuk.

Zdrowy gen egoizmu

Nie chciałbym nikomu dyktować, jak wypada, a jak nie wypada się starzeć. Ale chciałbym być głosem tych, którzy są zbyt obolali po trudach życia, żeby skakać na bungee, i wybierają siedzenie na fotelu z wnukiem na kolanach. Czasy się zmieniły i jak przyjdzie co do czego, na pewno nie dam się wmanewrować w dziadkowanie na cały etat. Nowoczesność wszczepiła we mnie gen egoizmu i nic na to nie poradzę. Jednak rolę dziadka w wielopokoleniowej rodzinie – może być nawet współczesna – chętnie zagram. Z radością dołożę swoją cegiełkę do kształtowania młodego człowieka. Z mojego doświadczenia wynika, że nie ma nic bardziej ekscytującego. A przynajmniej ja się w tym spełniam znacznie bardziej niż w bieganiu maratonów.

Zatem, Panie Prezydencie! Trzymajmy kciuki za to, że kiedyś, może w niezbyt odległej przyszłości, spotkamy się w parku na spacerze z wnukami. I niech nikt nie zabrania Panu o tym marzyć!

eprasa.pl 3489c50c38

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Ostateczny upadek

To, co wydarzyło się w ostatnim czasie wokół Polski 2050, przypieczętowało los tej formacji. Chociaż jej problemy zaczęły się dużo wcześniej, to właśnie obserwujemy początek jej końca. I to niezależnie od tego, kto obejmie w niej władzę.

Przyznaję, że przez ostatnie dwa lata, choć w rzeczywistości przecież dużo dłużej, Polska 2050 była wdzięcznym tematem do komentowania i opisywania. Partia Szymona Hołowni – jak mało która – dostarczała nam powodów do śmiechu. Nie inaczej jest i teraz.

Piszę ten felieton przed posiedzeniem Rady Krajowej Polski 2050, która ma zdecydować, co dalej z wyborem władz partii. Siłą rzeczy nie wiem więc, co postanowiono, a Państwo są już o tę wiedzę bogatsi. Tyle tylko że w gruncie rzeczy nie ma to już najmniejszego znaczenia. Dlaczego?

Polska 2050 pokazała bowiem wszystkim, że nie ma ani działaczy, ani struktur, ani pieniędzy, proces wyboru lidera zaś po prostu ją przerasta. Jedyną wartością jest jeszcze klub parlamentarny, który wchodzi w skład koalicji rządzącej, ale i to się może niedługo zmienić. Tym samym jej los wydaje się przesądzony.

Ironią losu jest to, że partia, która mocno forsowała koncepcję głosowania elektronicznego w wyborach ogólnopolskich, a dodatkowo współrządzi Polską, symbolicznie wywraca się na zdalnym wyborze przewodniczącego. Napisać, że to kompromitacja i farsa, to nic nie napisać. Jedyny pozytyw jest taki, że może przyczyni się to do pogrzebania dyskusji o elektronicznym głosowaniu w Polsce.

Rzecz jasna blamaż przy wyborach to tylko wierzchołek góry problemów Polski 2050. Ostatnie miesiące obnażyły nie tylko jej strukturalne słabości, ale także niezwykle silne podziały wewnętrzne. W związku z tym wydaje się, że czeka ją albo rozpad, albo rozpuszczenie się w innych partiach lub na wspólnej liście.

Najbardziej symboliczne okazało się zachowanie Szymona Hołowni. Człowieka, który latami budował wizerunek arbitra, moralisty i surowego recenzenta cudzych błędów. W dniu próby zamienił się w bohatera własnego monodramu: trochę obrażony, trochę protekcjonalny i bardzo przekonany o własnej racji. A przecież to on sam doprowadził do obecnej sytuacji i niemal w całości za nią odpowiada. Zwłaszcza gdy kilka miesięcy temu publicznie obraził się na polską politykę oraz porzucił swoich towarzyszy na rzecz iluzji o ONZ.

Być może ktoś z Państwa zastanawia się teraz, po co właściwie pochylać się nad Polską 2050, która już od dawna stała się partią-memem. I w dużej mierze taka osoba będzie miała rację. Tyle tylko że to partia, która aktualnie współrządzi Polską, ma swoich ministrów, wicemarszałka Sejmu i walczy o tekę wicepremiera. Od razu mina rzednie, prawda? I śmieszno, i straszno.

eprasa.pl 3489c50c38

Te cholerne matuzalemy

Mówi się o nich z **syczącą nienawiścią**. Geriatria. Staruchy. Grzyby borowe. Dziadersi. W dodatku to, co jeszcze wybacza się niektórym wybitnym mężczyznom w wieku senioralnym, nie dotyczy ich równolatek. Elegancko to się nazywa ageizmem. Mniej ładnie – pogardą dla ludzi w zaawansowanym wieku. Ich świadomym lub podświadomym wykluczaniem. Owszem, są seniorzy, którym udziela się głosu niczym Wernyhorze czy innemu Katonowi Młodszemu – jednak o ile ideologicznie idą z głównym nurtem jak Daniel Olbrychski czy Andrzej Seweryn.

Monika Małkowska

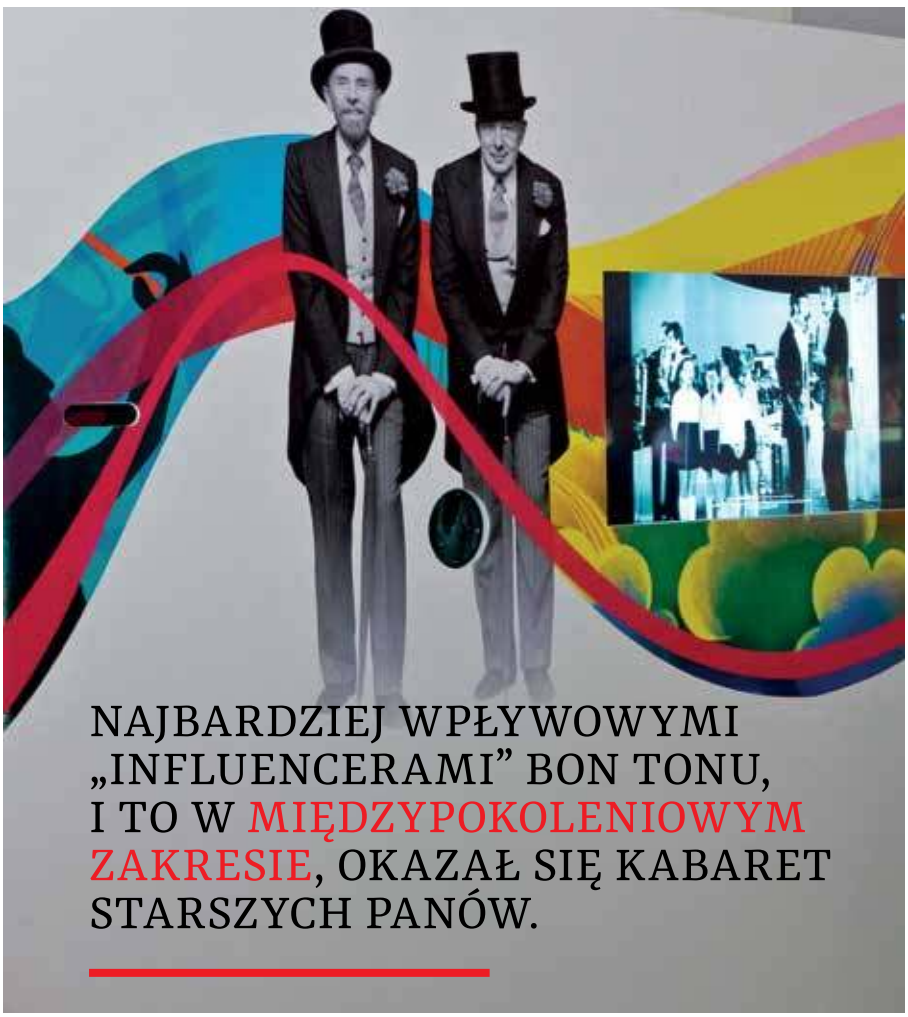

NAJBARDZIEJ WPŁYWOWYMI „INFLUENCERAMI" BON TONU, I TO W MIĘDZYPOKOLENIOWYM ZAKRESIE, OKAZAŁ SIĘ KABARET STARSZYCH PANÓW.

Fot. Mariusz Przygoda / Forum

Jestem boomerką, czyli produktem powojennego wyżu. Moje „najlepsze" lata były najgorsze: ledwo zaczętą aktywność zawodową (na polu sztuki i w mediach) i pierwsze sukcesy sparaliżował na dekadę stan wojenny i jego konsekwencje. A po przełomie 1989 roku trzeba było nauczyć się nowych reguł gry (wcale nie uczciwszych niż PRL-owskie), a także zmierzyć się z konkurencją świeżo opuszczającą uczelnie, podjaraną zachodnimi wzorcami „młodych wilków". Wbrew sztandarowym hasłom codzienność kapitalizmu to mniej demokracji, a więcej eliminacji: konstytucyjnie gwarantowane równouprawnienie to ściema, a silversi mają przesrane. Z hejtem z racji metryki spotkałam się jeszcze przed emeryturą; wzmagała go moja ideologiczna nieprzystawalność do przewodniej ideologii liberalno-lewicowej. Ale my tu o ageizmie stosowanym. Otóż, jakoś pod koniec pierwszego Tuska przyszła do mnie osoba dziennikarska na wywiad/reportaż. Efektem tegoż był tekst opublikowany w periodyku przeznaczonym dla osób ze środowisk sztuk wizualnych. Zaczynało się tak: „Starość...". Dalej były rozważania, jak ONA będzie się czuła posunięta w latach, bo jak na razie nie martwi się o zmarszczki. „W temacie" krytyki sztuki zapytała, który ze swych tekstów najbardziej lubię. Nigdy nie poczułam się równie upokorzona, jak po tej publikacji. Dodam, że ta sama osoba nie odważyła się na podobną dezynwolturę wobec (starszej) Andy Rottenberg, o której robiła podobny „reportaż". Bo niektórzy starzy mają długie pazury.

Spełnianie po kres

Najczęściej słyszy się pełne nienawiści wypowiedzi o wszystkich, którzy „ponadczasowo" pozostają

eprasa.pl 3489c50c38

aktywni zawodowo. „Przyspawali się", zabierają miejsce młodszym. Seniorzy tylko na reklamach śmieją się od ucha do ucha, bo mają za co godnie żyć, a jedynym nękającym ich problemem jest wybór formy samorealizacji – od nauki gry na tamburynie po globtroterstwo. Propagandowa obłuda. Dodatkowa praca podejmowana po przejściu na emeryturę przez przedstawicieli baby boomers (ur. 1946–1964) jawi się milenialsom (roczniki 1980–1996) oraz ich poprzednikom, pokoleniu X (to ci urodzeni 1965–1979), a nade wszystko zetkom (pokolenie 1995–2012), jako kaprys, wręcz wynaturzenie. Młodziaki i średniacy, ci wykształceni z wielkich miast, deklarujący demokratyczne poglądy i akceptację dla każdej formy biologicznego istnienia, jedynie starym ludziom nie przyznają prawa do samodzielnych wyborów. „Co, te dziady mają czelność jeszcze chcieć pracować? Konkurować z młodszymi?". Tymczasem dorabianie do emerytury przez generację wyżu demograficznego stało się ponurą koniecznością. Zazwyczaj portfel seniora jest za cienki, żeby stać go było na „spełnianie się". Kreatywnie korzystać z wolnego czasu mogą tylko ci, co przez całe życie zachowali etatową ciągłość i pobory wyższe niż przeciętne. Jednak najmocniej urynkowienie uderzyło po kieszeni ludzi wolnych zawodów. Tych, którzy w PRL-u nie pracowali na etatach, tylko żyli od zlecenia do kolejnego. Jeśli zdołali odłożyć coś „na książeczkę docelową", skutecznie pozbawiła ich zapasów denominacja roku 1994 (wprowadzona w życie 1 stycznia 1995 roku). Wtedy każdy, kto miał jakiekolwiek oszczędności, z dnia na dzień został ich pozbawiony. Kolejny odpływ gotówki zafundowali prywatni ubezpieczyciele, różne „trzecie filary", którymi mamiono obywateli RP pod koniec lat 90. Zapewniam – praca tak długo, póki starcza zdrowia i sił, nie jest fanaberią.

Konstytucyjny fałsz

Teoretycznie w zdrowych demokracjach i wyedukowanych społeczeństwach nie toleruje się różnych form wykluczenia społecznego: rasizmu, seksizmu, homofobii, ksenofobii, antysemityzmu, klasizmu (dyskryminacji z powodu „niskiego" urodzenia), atrakcjonizmu (eliminowania ze względu na wygląd zewnętrzny), ageizmu... Oraz innych sposobów marginalizowania kogoś ze względu na jakąś niepożądaną w danym środowisku cechę. Zwykle osoba marginalizowana nie jest w stanie zmienić/poprawić tego, co ją negatywnie określa: rasy, pochodzenia, wieku. Najłatwiej dokonać tranzycji płci lub skorygować wygląd zewnętrzny, co w niektórych środowiskach przybrało rozmiary „must do". Jednocześnie wszelkie przejawy udowodnionej dyskryminacji uchodzą za wizerunkowo naganne, a nawet mogą być karane sądownie. Toteż tworzone są pozory równouprawnienia. Ale, jak wiadomo, równość na sztandarach nie sprawdza się w praktyce, vide fałsz w zakresie metrykalnego egalitaryzmu. Silversi, czyli urodzeni do połowy lat 60., choć posiwiali, często nadal starają się pozostać aktywni zawodowo, bo... przekonali się, co znaczy portfel emeryta. Lub po prostu łby wciąż im funkcjonują na wysokich obrotach. Siwki więc nie obcyndalają się i ścigają się z młodszymi pokoleniami, a ich atutem są wiedza, zawodowe doświadczenie i – paradoksalnie – większa odporność na stres. Ba, nawet finansowo żyją na jakim takim poziomie, jeśli mają szansę dorabiać na umowach, kontraktach, pracach zleconych. Brzmi fajnie, prawda?

> SENIORZY TYLKO NA REKLAMACH ŚMIEJĄ SIĘ OD UCHA DO UCHA, BO MAJĄ ZA CO GODNIE ŻYĆ, A JEDYNYM NĘKAJĄCYM ICH PROBLEMEM JEST WYBÓR FORMY SAMOREALIZACJI – OD NAUKI GRY NA TAMBURYNIE PO GLOBTROTERSTWO.

Tylko... pracodawcy nie palą się do ich zatrudniania. Silversi co i rusz walą białowłosymi głowami w szklany sufit – z powodów, o których było powyżej. No, chyba że staruszka jest wpływowa bądź przy kasie i ma czym opłacić przychylność oraz uwagę młodszych. Z dziadersami jest inaczej. Tu nie metryka decyduje o zaliczeniu do tej kategorii, lecz stan ducha, wygląd, pesymistyczne podejście do świata. Tak przynajmniej uważa mój znajomy psycholog. Trochę mu nie wierzę: w tym określeniu czai się pogarda dla starszych i nie słyszałam, żeby dwudziesto-,

eprasa.pl 3489c50c38

trzydziestolatek rzucił dziadersem w twarz komuś ze swego pokolenia. Za to choćby najbardziej aktywna i zadbana osoba, ale z zaawansowaną peselozą, jest obrzucana tym upokarzającym mianem. Czyli – jakiego by nie użyć słowa, to nie jest świat dla starych ludzi. A oni, te cholerne matuzalemy, jak na złość żyją coraz dłużej. Tylko – co to za życie?

Radośni staruszkowie, czyli SuperAgers

Ale bywa, że seniorzy nagle stają się dla twórców ciekawym tematem – czytaj: dochodowym. Powstają filmy i spektakle o egzystencjonalnych problemach lub pogodnych stronach „jesieni" życia. Czasem humor miesza się z kryminałem – jak włoska „Babcia w zamrażarce" (2018), brytyjska „Odlotowa babcia" (2022) czy francuska „Babcia Gandzia" (2012). Gdy obsada jest gwiazdorska, z dziadków można się też pośmiać – jak w amerykańskiej komedii „W starym, dobrym stylu" (2017) z Michaelem Caine'em i Morganem Freemanem. O dramatach seniorów mało kto odważa się opowiadać: to źle się sprzedaje. Są wprawdzie reżyserzy, którzy spróbowali i wygrali – David Lynch („Prosta historia"), Dorota Kędzierzawska („Pora umierać"), Michael Haneke („Miłość"), Paolo Sorrentino („Młodość")... Do puli najbardziej poruszających filmów o starości trzeba dołączyć „Bulwar Zachodzącego Słońca" (1950) z genialną Glorią Swanson, w reżyserii Billa Wildera, i „Sierpniowe wieloryby" (1987) Lindsaya Andersona z dwiema mega gwiazdami, jeszcze od czasów niemego kina: Lillian Gish i Bette Davis. Ale najbardziej chodliwy towar to brytyjskie komedie o zaradnych staruszkach, jak „Dziewczyny z kalendarza" (2003), „Hotel Marigold" (2011) i jego sequel „Drugi Hotel Marigold" (2015) czy ubiegłoroczny szlagier „Czwartkowy Klub Zbrodni" (2025). We wszystkich tych (i innych produkcjach) o atrakcyjnych, zasobnych, pogodnych i aktywnych seniorach pojawia się wciąż ten sam zestaw aktorów w kwiecie wieku: Helen Mirren, Judi Dench, Maggie Smith (zanim nie zeszła), Richard Gere, Bill Nighy, Pierce Brosnan. W tej kategorii sukces odniósł też amerykański serial „Grace i Frankie" (2015–2022) z takimi gwiazdami, jak Jane Fonda i Lily Tomlin, urodziwymi na swój wiek i pod każdym względem pełnosprawnymi. No właśnie – kiedyś nie zatrudniano w filmie starców, lecz postarzano charakteryzacją znacznie młodszych – jak choćby 57-letniego Arta Carneya uhonorowanego Oscarem za rolę 72-latka w filmie „Harry and Tonto" (1972).

SILVERSI, CZYLI URODZENI DO POŁOWY LAT 60., CHOĆ POSIWIALI, CZĘSTO NADAL STARAJĄ SIĘ POZOSTAĆ AKTYWNI ZAWODOWO, BO... PRZEKONALI SIĘ, CO ZNACZY PORTFEL EMERYTA.

Starsi przed czasem

W PRL-u nie znano terminu „ageizm", ale... nie było takiej potrzeby. W życiu codziennym nie wykluczano starszych i na ogół darzono ich estymą. Owszem, nierzadko zwracano się do obcej starszej osoby per „babciu" czy „dziadku", co było na porządku, dziennym zwłaszcza na prowincji. Jednak w tej nadmiernej poufałości tliła się odrobina ciepła, sympatii i szacunku, co wyrażało się w drugiej osobie liczby mnogiej – bo do starszego nie zwracano się na „ty", lecz per „wy". Czasem w socpopkulturze seniorów przedstawiano naiwnie, jak śląskiego „starzyka", co grzał kości przy piecu, pykał fajeczkę i karmił gołąbki, jako że na leniuchowanie zasłużył pracowitym życiem w kopalni – a chór młodzików śpiewał mu: „Nie jesteście dziadku sami, nasze serca są wciąż z wami". W miastach obowiązywały tradycyjne formy savoir-vivre'u, w tym te dotyczące zachowań w obecności ludzi starszych. Hołdowali im nawet partyjniacy, jeśli nie chcieli uchodzić za prostactwo. Ale najbardziej wpływowymi „influencerami" bon tonu, i to w międzypokoleniowym zakresie, okazał się Kabaret Starszych Panów. Ubrani w „jaskółki" (żakiety), kamizelki i sztuczkowe spodnie, z cylindrami w dłoniach, Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski zachowywali się, jakby komunizm ich się nie imał. Co więcej – byli chyba jedynymi, którym udała się metrykalna „ucieczka do przodu", kiedy jeszcze byli w swych latach średnich. Sami usytuowali się jako nieszkodliwi, popijający herbatkę obserwatorzy, z perspektywy kanapy dający odpór PRL-owskiej rzeczywistości.

eprasa.pl 3489c50c38

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

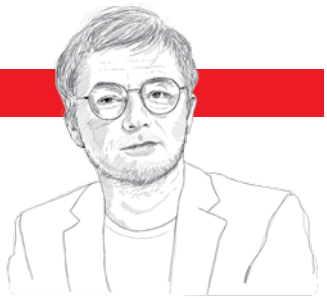

Powstanie zniszczyło polską szkołę

Jan Wróbel

Wybuch powstania styczniowego jest przedmiotem nawracających kontrowersji. I słusznie. Sytuacja, w której szlachetne, patriotyczne emocje pchają naród do zguby, a nie do polepszenia swego bytu, powinna budzić rozterki i refleksje. Ulegając im, wniknąłem kiedyś nieco głębiej w rzeczywistość polskiej oświaty lat przedpowstaniowych. Niespodzianka za niespodzianką.

Po pierwsze, wydawało mi się oczywiste, że nadzór oświatowy walił na odległość ruską onucą. Zachowane protokoły wizytacji oraz różne zalecenia dla nauczycieli i dyrektorów pokazują natomiast co innego: zalecenia dotyczą przede wszystkim jakości nauczania (wciąż – po polsku!). Wiele uwagi poświęcano sensownemu stawianiu stopni.

Po drugie, liczne wskazówki co do „przyuczania do moralności" – formułowano językiem charakterystycznym dla tamtych czasów, a nie akurat dla rusyfikującego caratu. Zalecenia tego rodzaju w zaborze austriackim doby autonomii narodowej będą bliźniaczo podobne.

Po trzecie... Władze starały się, aby wizytatorami byli Polacy: przytomni, znający szkolne zagadnienia i w razie czego umiejący ujrzeć oznaki nadchodzących niebezpieczeństw, również politycznych. Nie, żeby zrusyfikowane świnki, raczej ci wyznający ostrożność i takiej ostrożności życzący sobie w szkołach. Wizytatorzy byli z reguły ludźmi na poziomie. A wnioski zawarte w ich raportach dotyczyły z reguły poziomu nauczania, a nie poziomu płaszczenia się przed władzą.

SZKOLNI WIZYTATORZY BYLI Z REGUŁY LUDŹMI NA POZIOMIE. DO CZASU.

Wizytatorem był m.in. Józef Korzeniowski, uznany w tamtych czasach dramaturg (jego najlepsze jednak dzieło to Joseph Conrad). Kiedy wizytował prywatne gimnazjum w Radomiu, krytykował nauczanie jako nastawione na pamięć, nie na myślenie: „Słowo Boże studiowane było tylko częściowo. Uczniowie nie umieli dobrze czytać po polsku [...] wykonując arytmetyczne działania, nie rozumieli, dlaczego tak się dzieje, a nie inaczej".

Nawet, uwaga, rosyjski kurator swoje uwagi dotyczące nauczania języka rosyjskiego (od 1833 roku przedmiot obowiązkowy w wymiarze 5–6 godzin tygodniowo), formułował bez bogoojczyźnianej emocji: „Polecono dyrektorom i nauczycielom [...] aby jak tylko można, najwięcej czuwali nad prawidłowym wymawianiem, a także by wyznaczali uczniom wyższych klas historyczne ćwiczenia (wprawki) i poprawiali takowe w miarę możliwości". Skądinąd zalecenia logiczne, skoro egzaminy ukończenia gimnazjum, uprawniające do podjęcia studiów, składano po rosyjsku, a uniwersytety miały swoje siedziby w Rosji.

Najważniejsze stało się jednak potem. Margrabia Aleksander Wielopolski, którego idiotyczna polityka prostą drogą doprowadziła do wybuchu powstania, uzyskał od cara ogromny zakres możliwości dla polskiej oświaty. Jego współpracownicy nakreślili i zaczęli realizować naprawdę nowatorski, światły program reform edukacji. Powstanie i jego likwidacja zmiotły ten projekt. Nadeszła szkoła rosyjska.

eprasa.pl 3489c50c38

BRAUN, czyli suma wszystkich strachów

Konfederacja Korony Polskiej **nie jest w rzeczywistości ugrupowaniem konserwatywnym**. To raczej partia protestu i właśnie na tym buduje swoje poparcie. Zagospodarowuje wyborców, którzy są przeciw wszystkiemu, czego chce większość.

Mariusz Staniszewski



Marsz „Polska za pokojem" z udziałem prawicowych polityków Konfederacji Korony Polskiej – Grzegorza Brauna i Włodzimierza Skalika, Białystok, 23.11.2025 r.

Fot. Michał Kość/Forum

eprasa.pl 3489c50c38

Roman Fritz, wiceprezes KKP, jakby niechcący ujawnił niedawno, że jego formacja jest przeciwna płacy minimalnej. Pozornie to postulat niepopularny, który pewnie nie podoba się większości pracowników. Mogą przecież przypomnieć sobie czasy pierwszej kadencji Donalda Tuska, gdy stawka godzinowa wynosiła kilka złotych, a Polacy masowo uciekali za granicę, albo musieli dorabiać w Niemczech przy zbiorze przysłowiowych już szparagów.

Jego wypowiedź wywołała burzę. No bo jak to? Przecież rosnąca płaca minimalna to osiągnięcie ostatniej dekady. Między innymi dzięki jej podniesieniu poziom życia Polaków wzrósł i przestaliśmy być biedakami Europy.

Tyle tylko że partia Grzegorza Brauna nie walczy o większość, ale mniejszość. Istnieje duża grupa przedsiębiorców – ale też publicystów i ekspertów z leseferystycznych think tanków – którzy uważają, że płaca minimalna to zło wcielone. Socjalizm, bolszewizm, ograniczanie wolności, niszczenie wolnego rynku i ogóle koniec kapitalizmu, a pewnie i świata. Takie poglądy może podzielać kilka, kilkanaście procent polskiego społeczeństwa i to właśnie do nich swój przekaz kieruje Konfederacja Korony Polskiej. Im większe oburzenie w mainstreamowych mediach – a dla zwolenników Brauna to właściwie wszystkie dostępne w Polsce – tym słuszniejszy musi być pogląd Romana Fritza. Ostra krytyka – nieważne z lewa czy z prawicy – napędza zwolenników KKP.

Kontestować wszystko

Właściwie nie wiemy, czego zwolennikiem jest Grzegorz Braun. Łatwo możemy natomiast stwierdzić, czego lub kogo jest przeciwnikiem. Nie znosi Unii Europejskiej, z niechęcią mówi o Żydach, Ukraińcach, Niemcach, brukselskich elitach, Koalicji Obywatelskiej, Prawie i Sprawiedliwości, Konfederacji, lewicy, mediach, dziennikarzach, urzędnikach, sędziach, islamie, ograniczeniach w dostępie do broni czy świadczeniach socjalnych. Jest w stanie dokonać obywatelskiego aresztowania lekarki, która uśmierciła dziecko w łonie matki będącej w dziewiątym miesiącu ciąży, czy gaśnicą zgasić chanukowe świece.

Dlatego właśnie gaśnica stała się jego symbolem – herbem, logo, znakiem rozpoznawczym, firmową maskotką. Zwolennicy Grzegorza Brauna noszą znaczki z tym sprzętem, przyklejają emblematy na auta, ba, nawet wożą na dachach gaśnice z napisem „Drużyna Brauna". Lider chętnie składa na nich autografy.

Można by powiedzieć, że to tylko gadżet, ale to nieprawda. Zgaszenie chanukowych świec stało się mitem założycielskim Konfederacji Korony Polskiej. To wtedy zapadła decyzja o zerwaniu sojuszu ze Sławomirem Mentzenem i Krzysztofem Bosakiem, czyli wyjściu z Konfederacji, gdzie Braun był traktowany jak piąte koło u wozu. A może raczej jak dziwak, którego liderzy formacji tolerują wyłącznie z powodów wyborczej arytmetyki.

Bosak i Mentzen potępili akcję z gaśnicą i chanukowymi świecami, a Braun tylko na to czekał. W atmosferze skandalu na skalę światową mógł założyć własne ugrupowanie, dla którego nie ma ograniczeń. Może zarówno wzywać do polexitu, jak i kwestionować istnienie komór gazowych w Auschwitz. Liczy się rozgłos.

> OSTRA KRYTYKA – NIEWAŻNE Z LEWA CZY Z PRAWICY – NAPĘDZA ZWOLENNIKÓW KKP.

Wyrachowana gra

Mechanizm działania Konfederacji Korony Polskiej i jej rosnąca popularność są wbrew pozorom banalnie proste. Politycy KKP chcą być głosem wszystkich, którzy przeciwko czemuś protestują, kogoś nienawidzą, coś kwestionują. Wszystkie grupy niezadowolonych tworzą całkiem spory elektorat, który Grzegorz Braun właśnie zagospodarowuje, odbierając wyborców Prawu i Sprawiedliwości, Konfederacji czy Trzeciej Drodze.

Zróbmy prosty rachunek. Największe partie w Polsce odżegnują się od polexitu. Wiedzą, że ponad 65 proc. wyborów to zwolennicy obecności naszego kraju w UE (sondaż z grudnia 2025 r.). Lewica, KO, PiS, PSL oraz w pewnej mierze Konfederacja walczą o te dwie trzecie wyborców, zostawiając niemal zupełnie – z wyjątkiem Konfederacji, która czasem gra na takich nutach – tę jedną trzecią Polaków pragnących zerwania z Brukselą. Braun nie ma więc tu właściwie konkurencji, wchodzi na pole niczyje i może bez problemów je zagospodarowywać.

Kolejny przykład to Ukraińcy. 46 proc. Polaków jest przeciwnych przyjmowaniu imigrantów z Ukrainy, a 48 proc. jest „za" (sondaż CBOS z grudnia 2025 r.). Partie konkurujące o polityczne centrum z wielu powodów nie mogą sobie pozwolić na jednoznaczne wyrażanie niechęci wobec Ukraińców. Naraziłyby się na zarzut ksenofobii, proroosyjskości, ale także działania na szkodę przedsiębiorców i całej gospodarki – odpływ imigrantów z tego ogarniętego wojną kraju wywołałby kryzys spowodowany brakiem rąk do pracy. Jeśli więc pojawiają się niechętne Ukraińcom postulaty, to najczęściej dotyczą one świadczeń socjalnych. Grzegorz Braun nie musi się oglądać na zarzuty ›

eprasa.pl 3489c50c38

o ksenofobię czy rusofilstwo. On się tego nie wstydzi, uznaje to wręcz za swój atut, który odróżnia go od całej reszty partii. Niemal samodzielnie może więc łowić w zbiorniku, w którym znajduje się 46 proc. wyborców.

Jeszcze wyraźniej widać to na przykładzie stosunku do Żydów. Sympatię wobec nich deklaruje 26 proc. Polaków, niechęć – 32 proc. (badanie CBOS z lutego 2025 r.). Oczywiście stosunek do mieszkańców Izraela zmienił się po bombardowaniach Strefy Gazy, ale i tak żadna z głównych partii nie obiera otwarcie antyżydowskiego kursu. Wynika to z delikatności relacji polsko-izraelskich z obawy o zarzut antysemityzmu, ale także z chęci zachowania dobrych stosunków z Amerykanami, którzy twardo stoją po stronie Tel Awiwu i tego samego wymagają od sojuszników. Konfederacja Korony Polskiej może więc bez większej konkurencji zabiegać o sympatie jednej trzeciej wyborców.

Partia Brauna nie ma także rywali w walce o poparcie Polaków sympatyzujących z Rosją. Jest ich co prawda zaledwie 8 proc. (w badaniu CBOS z lutego 2025 r. negatywny stosunek do tej nacji deklaruje 72 proc. obywateli), ale to dość silna tożsamość. Trzeba mieć mocny powód, by w naszym kraju żywić ciepłe uczucia wobec Rosjan. Braun nie wstydzi się powiedzieć, że moskiewski car był dobrym królem Polski.

Przytoczmy jeszcze jeden mocny przykład – dostęp do broni. Zdecydowana większość naszych rodaków jest przeciwna wprowadzeniu dostępu do broni bez zezwolenia. Takiego zdania było 75 proc. badanych w sondażu SW Research z 2023 r. „Za" opowiadało się jednak ponad 16 proc. respondentów. I to właśnie kolejne łowisko dla KKP, na którym może operować sama. Partia ta opowiada się także za powszechnym dostępem do broni i przeciwko konieczności jej rejestracji. Żadna inna formacja polityczna nie idzie tak daleko. Spór toczy się raczej o to, czy zaostrzyć, czy zliberalizować przepisy o dostępie do broni palnej.

Grzegorz Braun wywołał nawet poruszenie, pytając straż marszałkowską o to, gdzie może zdeponować swój pistolet, gdy przychodzi na obrady. Oznaczało to, że nosi go ze sobą.

Bez konsekwencji

W każdym z tych przypadków mówimy o grupie kilku lub kilkunastu milionów ludzi. Państwowa Komisja Wyborcza szacuje liczbę wyborców w Polsce na 28,4–29 mln osób. Oznacza to, że samych zwolenników powszechnego dostępu do broni jest około 4,5 mln, sympatyków Rosjan – 2,2 mln, niechętnych Żydom – 9 mln, przeciwników napływu Ukraińców – ponad 13 mln, domagających się wyjścia z UE – ponad 7 mln. Rezerwuar wyborców KKP jest więc całkiem spory.

Oczywiście Grzegorz Braun nie przyciąga wszystkich osób o wymienionych poglądach, gdyż nie tworzą oni zwartych elektoratów. Dla KKP nie jest to jednak wadą, a często nawet zaletą. Formacja ta także nie ma jasnego programu. Jej celem jest reprezentowanie wszystkich, którzy chcą wywrócić obecny system. Nieważne z jakiego powodu. Istotne jest, by sprzeciwiali się temu, co jest teraz.

To daje duże możliwości zdobywania sfrustrowanych wyborców. Takich, którzy zawiedli się na III RP, mają trudności z ułożeniem sobie życia czy z jakichś powodów znaleźli się na jego marginesie. Braun daje możliwość szybkiego znalezienia winnych. Mogą być nimi Ukraińcy, Żydzi, Unia Europejska czy antypolski rząd. Zresztą można to wszystko połączyć i zrzucić odpowiedzialność na żydowsko-masońsko-socjalistyczną Unię Europejską oraz żydowsko-masońsko-imperialistyczne Stany Zjednoczone. Gdy stworzymy taką konstrukcję, rzeczywistość staje się prosta, a sposób jej poprawy oczywisty.

Jednak obecna wysokość poparcia KKP jest nie do utrzymania. Życie partii protestu jest zwykle krótkie, choć burzliwe. W Polsce najlepszym przykładem jest Samoobrona. W pierwszych latach obecnego wieku jej sondażowe poparcie sięgało nawet 27 proc. W 2005 r. do Sejmu weszła, zdobywając 11,4 proc. głosów. Dwa lata później do parlamentu już się nie dostała, uzyskując 1,5 proc. głosów.

Najsilniejszym spoiwem partii politycznych jest tożsamość, która wynika z programu pozytywnego. Z jasnej wizji przyszłości. Negacja teraźniejszości potrafi wzbudzić silne emocje i szybko budować poparcie. Jednak najczęściej jest ono krótkotrwałe, gdyż trudno je skanalizować działaniem polegającym na tworzeniu.

Tego właśnie oczekują wyborcy, gdy nadchodzi czas głosowania. Dotkliwie przekonuje się o tym Polska 2050. Jej wyborcy chcieli lepszej polityki, a nie destrukcji pod płaszczykiem rozliczeń. Dlatego ugrupowanie to właśnie przestaje istnieć.

BRAUN DAJE MOŻLIWOŚĆ SZYBKIEGO ZNALEZIENIA WINNYCH. MOGĄ BYĆ NIMI UKRAIŃCY, ŻYDZI, UNIA EUROPEJSKA CZY ANTYPOLSKI RZĄD.

eprasa.pl 3489c50c38

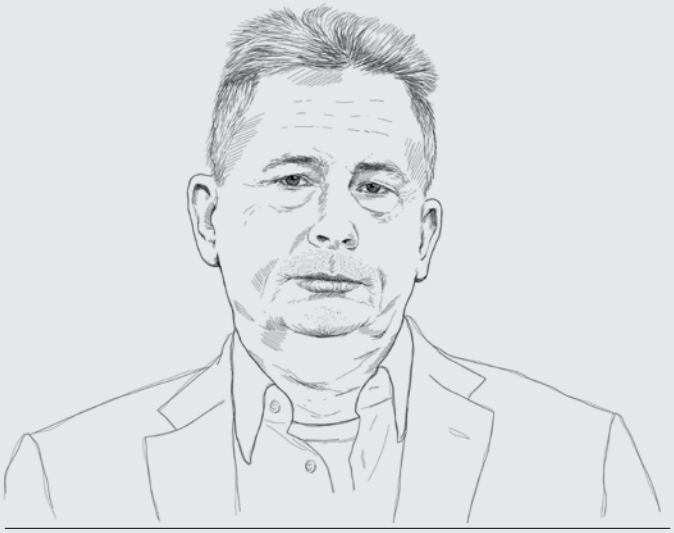

Piotr Skwieciński

Piosenki, które kochamy

Jarosław Kurski, były długoletni naczelny „Gazety Wyborczej", opublikował w niegdyś swoim piśmie artykuł pełen słów i fraz w rodzaju: „sprzedaliśmy Rosji", „kolonizatorstwo", „niewolnictwo", „zdrada", „polsko-sowiecki rozbiór Ukrainy", „o hańbo!". Ta eksplozja emocji dotyczy, jak Czytelnik już się domyślił, relacji polsko-ukraińskich. Relacji na przestrzeni wieków, ale ze szczególnym uwzględnieniem traktatu ryskiego i ówczesnego zerwania sojuszu Józefa Piłsudskiego z Symonem Petlurą.

Pokój ryski to jest coś, co nie tylko Kurskiemu się nie podoba, ale w ogóle, można powiedzieć, Polakom. Bardzo różnym Polakom. Bo jego twórcy są atakowani z dwóch kierunków, które formalnie wprawdzie nie są przeciwstawne, ale w praktyce, jeśli ktoś nienawidzi traktatu za coś, to z reguły nie podziela nienawiści wzbudzanej przez traktat w drugiej grupie krytykujących, która nienawidzi go za coś innego. Bo jedni atakują tych, którzy negocjowali w Rydze za pozostawienie za wschodnią granicą wielu Polaków, a inni – za uznanie przynależności Ukrainy do Rosji radzieckiej. Jako się rzekło – te krytyki są intelektualnie niesprzeczne, śmiało można je połączyć, ale jakoś tak jest, że krytykujący tego nie robią, stanowią dwa niemal całkowicie rozdzielne zbiory. Bez większego ryzyka można powiedzieć, że pierwszy zbiór to ludzie o wrażliwości narodowej czy nostalgiczno-konserwatywno-ziemiańskiej, a drudzy to ukrainofile i – często – lewica.

I jedni, i drudzy zapamiętali są w swych krytykach strasznie. Ale ani jedni, ani drudzy nie odpowiadają na pytanie o alternatywę. Czyli niby co innego w konkretnej rzeczywistości początków roku 1921 miała zrobić Polska?

Bo ci, którzy twierdzą, że wojnę można było kontynuować aż do zwycięskiego końca i że ten zwycięski koniec był osiągalny – oceńmy to w sposób dla nich możliwie najłagodniejszy – nie wiedzą, co mówią. Rzeczpospolita potrzebowała wtedy pokoju tak samo gwałtownie, jak potrzebowali go bolszewicy. Polska była spustoszona, nie było w kraju absolutnie żadnej siły politycznej, która chciałaby kontynuacji wojny. A dodatkowo zbliżał się plebiscyt na Górnym Śląsku i dla wszystkich było jasne, że jeśli przedtem nie będzie pokoju między Polską a Rosją, na Śląsku nikt za Polską nie zagłosuje – bo po co? Żeby następnego dnia samemu iść na wojnę albo musieć wysłać na nią syna?!

No i w razie kontynuowania wojny nikt by nam nie pomagał – a nasza armia była niemal w całości wyposażona i uzbrojona przez Francję. Gdyby Paryż odmówił nam dalszego wsparcia (a odmówiłby, bo już nie liczył na zwycięstwo w Rosji białych, co było przyczyną, dla której nam pomagał przeciw bolszewikom), byłoby z Polską naprawdę bardzo źle. Nasi ukraińscy sojusznicy walczyli dzielnie, ale w ówczesnej konkretnej rzeczywistości nie stanowili militarnego wsparcia, które by się liczyło.

Co, u licha, mieli więc wtedy zrobić sternicy polskiej państwowości?

Jarosław Kurski oczywiście wie o tym wszystkim doskonale. Ale cóż – należy do tej części polskich intelektualistów, która uważa za swoją misję zawstydzanie rodaków. To zawstydzanie ma zawstydzanych w końcu przerobić w aniołów (forma gramatyczna użyta przez Słowackiego), którzy to aniołowie, przytłoczeni bezmiarem win swoich i swoich przodków, w końcu zaczną się słuchać tych, których od zawsze powinni. Czyli wirtualnej redakcji „Gazety Wyborczej".
I o to w tym wszystkim chodzi, ukrainofilia, „kolonializm", „niewolnictwo", „zdrada", „polsko-sowiecki rozbiór Ukrainy" i nawet „o hańbo!" – są tu tylko narzędziami.

eprasa.pl 3489c50c38



Stabilne źródła energii a ubóstwo energetyczne

Wysoki udział stabilnych źródeł energii, które są bardziej ekonomiczne niż niestabilne, przekłada się na wyższy wzrost PKB i niskie ubóstwo energetyczne. Zwiększanie udziału niestabilnych źródeł energii w miksie energetycznym, tak jak odbywa się to w UE, prowadzi do spowolnienia tempa wzrostu PKB, co z kolei obniża tempo wzrostu kapitałów gospodarstw domowych. Niestabilne technologie produkcji energii przyczyniają się do wzrostu cen energii w szybszym tempie niż wzrost PKB. Dominacja niestabilnych źródeł energii zwiększa deficyt energetyczny w obliczu rosnącego zapotrzebowania na energię wynikającego z rozwoju gospodarczego. Ponadto niestabilne źródła energii prowadzą do wzrostu ryzyka długotrwałych przerw w dostawach energii, co skutkuje znacznymi stratami dla gospodarstw domowych, przedsiębiorstw, przemysłu i całej gospodarki. Dominacja niestabilnych źródeł przyczynia się do ubóstwa energetycznego, które ostatecznie dotyka nie tylko gospodarstwa domowe, lecz także wszystkie podmioty w kraju, w tym przedsiębiorstwa. Taki problem na szeroką skalę występuje obecnie w Niemczech.

Za pomocą analizy regresji liniowej zostanie przedstawiony statystyczny wpływ stabilnych źródeł energii na redukcję ubóstwa energetycznego prowadzący do wniosku, że wzrost liczby niestabilnych

eprasa.pl 3489c50c38



Fot. Adobe Stock

źródeł energii może przyczyniać się do wzrostu ubóstwa energetycznego. Zostanie zbadany wpływ stabilnych źródeł energii (ang. Stable Energy Source, SES) na poziom ubóstwa szacowany za pomocą wskaźnika skutków ubóstwa (ang. Effects Based Score, EBS) opracowanego przez naukowców z Uniwersytetu w Miszkolcu na Węgrzech (Kashour, Jaber, 2024). Metodologia szacowania EBS opiera się na analizie przyczynowo-skutkowej. Skutki ubóstwa energetycznego obejmują niedostateczne ogrzewanie mieszkań, zaległości w opłatach za energię oraz problemy z jakością mieszkań (Kashour, Jaber, 2024), a ich przyczynami są wysokie koszty energii, niska efektywność energetyczna i niskie dochody gospodarstw domowych (Kashour, Jaber, 2024). Na **rysunku 1.** zilustrowano ideę wpływu przyczyn na skutki ubóstwa energetycznego.

Na **rysunku 2.** przedstawiono poziom ubóstwa energetycznego w krajach UE. Kraje podzielono na pięć grup ze względu na poziom ubóstwa energetycznego. Do grupy o bardzo niskim poziomie ubóstwa, mieszczącej się w przedziale EBS=(0–0,14), należą: Czechy, Szwecja, Austria, Finlandia, Polska, Słowacja, Holandia, Estonia; do grupy o niskim poziomie ubóstwa energetycznego, mieszczącej się w przedziale EBS=(0,15–0,24), należą: Malta, Luksemburg, Niemcy, Belgia, Dania, Irlandia, Francja; do grupy o średnim poziomie ubóstwa energetycznego, mieszczącej się w przedziale EBS=(0,25–0,34), należą: Chorwacja, Łotwa, Słowenia, Włochy, Węgry, Rumunia; wysoki poziom ubóstwa energetycznego, mieszczący się w przedziale EBS=(0,35–0,44), występuje w takich krajach jak:

Rysunek 1. Diagram ilustrujący przyczyny i skutki ubóstwa energetycznego

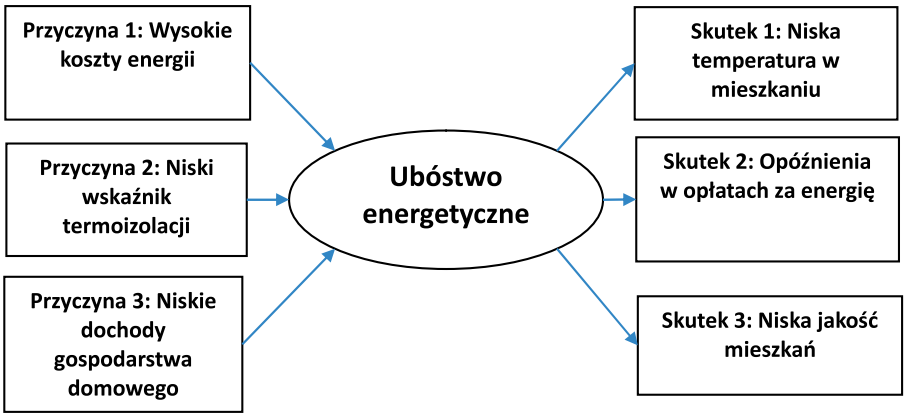

Źródło: Opracowanie własne na podstawie: Kashour M., Jaber M., „Revisiting energy poverty measurement for the European Union, Energy, Research & Social Science", 2024.

Rysunek 2. Ubóstwo energetyczne w krajach UE mierzone wskaźnikiem EBS

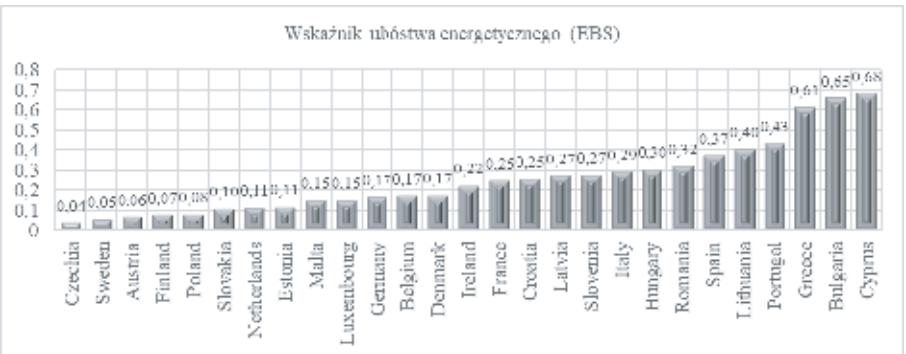

Źródło: Opracowanie własne na podstawie: Kashour M., Jaber M., „Revisiting energy poverty measurement for the European Union, Energy, Research & Social Science", 2024.

eprasa.pl 3489c50c38

Hiszpania, Litwa, Portugalia; a bardzo wysoki poziom ubóstwa energetycznego, mieszczący się w przedziale EBS=(0,45–0,74), występuje w Grecji, Bułgarii i na Cyprze.

Do przeprowadzenia analizy regresji wybrano 13 państw UE i ustalono zależności wskaźnika ubóstwa energetycznego od poziomu stabilnych źródeł energii. Siedem krajów wybrano z Europy Zachodniej, a sześć z regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Na **rysunku 3.** przedstawiono wyniki EBS dla wybranych krajów, które posłużyły do przeprowadzenia analizy regresji zależności ubóstwa energetycznego od stabilnych źródeł energii.

Rysunek 4. przedstawia zależność wskaźnika ubóstwa energetycznego EBS od poziomu stabilnych źródeł energii w krajach UE. Regresja liniowa przedstawiona na **rysunku 4.** została oparta na danych wskaźnika EBS uzyskanych z badań Kashour i Jaber w 2024 roku oraz danych o wskaźnikach stabilnych źródeł energii pochodzących z bazy danych Eurostatu. Oszacowana zależność EBS=f(SES) charakteryzuje się bardzo wysokim współczynnikiem determinacji na poziomie R^2=0,88 i jest istotna statystycznie, z wartością p-Value poniżej 0,005. Regresja ta dowodzi, że im wyższy poziom stabilnych źródeł energii w gospodarce, tym niższe jest ubóstwo energetyczne.

Badanie potwierdziło, że wysoki udział stabilnych źródeł energii przekłada się na niższe ubóstwo energetyczne.

Przyczynami ubóstwa energetycznego w krajach UE są wysokie koszty energii, niska efektywność energetyczna i relatywnie niskie dochody, co ostatecznie prowadzi do niewystarczającego ogrzewania mieszkań, zaległości w opłatach za energię i jakość energetyczną mieszkań.

Wysokie koszty energii wynikają z wysokiego udziału odnawialnych źródeł energii w miksie energetycznym krajów UE, co prowadzi do ubóstwa energetycznego w postaci niewystarczającego ogrzewania mieszkań.

Niska efektywność energetyczna w krajach UE wynika z niskiego udziału stabilnych źródeł energii, takich jak energia jądrowa, węgiel czy gaz, które charakteryzują się znacznie wyższą efektywnością energetyczną i ekonomiczną.

Osłabianie budżetów gospodarstw domowych jest wynikiem drogiego modelu transformacji energetycznej w UE opartego na dominacji niestabilnych źródeł energii.

Model transformacji energetycznej w UE generuje niższy wzrost PKB w porównaniu z USA i Chinami, a w konsekwencji przyczynia się do ubóstwa energetycznego, które objawia się niedoborem mieszkań o odpowiednim standardzie życia i izolacji termicznej. Ostatecznie przekłada się to na wysokie koszty ogrzewania lub chłodzenia mieszkań.

Rysunek 3. Wskaźniki ubóstwa energetycznego w 13 krajach UE

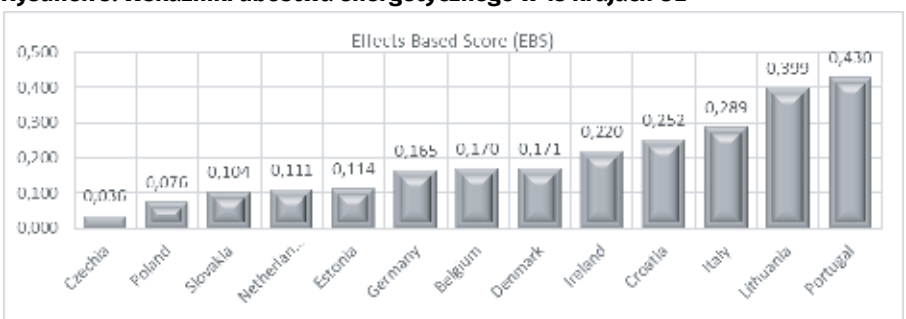

Źródło: Opracowanie własne na podstawie: Kashour M., Jaber M., „Revisiting energy poverty measurement for the European Union, Energy, Research & Social Science", 2024.

Rysunek 4. Zależność ubóstwa energetycznego od udziału stabilnych źródeł energii w UE

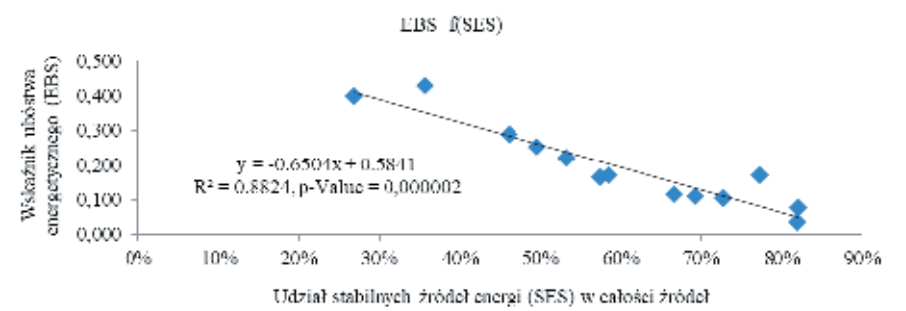

Źródło: Opracowanie własne na podstawie: Kashour M., Jaber M., „Revisiting energy poverty measurement for the European Union, Energy, Research & Social Science", 2024.

Artykuł pochodzi z „Magazynu Optyka Schumana".

eprasa.pl 3489c50c38

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego


NIE WPUSZCZAĆ
NIE WPUSZCZAĆ
NIE WPUSZCZAĆ

Czechy

NIE DLA EURO

Eurokraci w Brukseli nie kryją złości – Czechy, kraj, po którym spodziewano się, że przyjmie euro jeszcze w pierwszej dekadzie obecnego stulecia, właśnie **przygotowują się do zmiany konstytucji**. Na wzór art. 31 polskiej konstytucji ma się w niej znaleźć zapis o tym, że czeskim pieniądzem jest i będzie korona czeska.

Paweł Pietkun



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 3489c50c38

Choć arytmetyka czeskiego parlamentu i niewystarczająca większość zwycięskiego w ubiegłorocznych wyborach ugrupowania ANO 2011 obecnego premiera Andreja Babiša nie gwarantuje, że zmiana taka nastąpi bez problemów, sami Czesi nie pozostawiają wątpliwości – tylko co czwarty z nich, a i to niechętnie, dopuszcza zamianę narodowej waluty na europejski super pieniądz. To już szósty kraj w Unii Europejskiej, który odwraca się od wspólnej waluty.

Podobnie jak Duńczycy i Szwedzi (oba kraje skandynawskie chcą pozostać przy swoich walutach), Czesi stawiają na pełną niezależność od Europejskiego Banku Centralnego i chęć zupełnej kontroli własnej polityki monetarnej. Przy czym rząd czeski idzie w zapowiedziach znacznie dalej, bo oprócz umieszczenia – obok niepodległości i niezależności w ramach członkostwa w Unii Europejskiej – własnej waluty na sztandarze Republiki Czeskiej prawnicy rządu Andreja Babiša chcą umieszczenia w pierwszym akcie prawnym republiki także zapisu o wieczystym prawie do gotówki, co również cieszy się ogromnym poparciem społecznym.

Zmiana trudna, ale z dużym poparciem

Rozkład głosów w czeskim parlamencie pokazuje, że przy 108-mandatowej większości w 200-osobowej niższej izbie parlamentu do zmiany konstytucji prawicowemu ruchowi ANO 2011 brakuje jeszcze 12 głosów. Znalezienie takich głosów – przy badaniach opinii publicznej jednoznacznie pokazujących niechęć społeczeństwa do zmian w portfelach czeskich obywateli – nie będzie szczególnie trudne, jednak zmiana może napotkać spore opory w czeskim Senacie, gdzie na 81 senatorów pomysł obecnego premiera chce poprzeć 15 z nich. Wiadomo, że na przeszkodzie tej zmianie nie stanie prezydent Petr Pavel – zgodnie z ustawą zasadniczą nie ma prawa weta wobec ustaw konstytucyjnych.

Czesi, którzy nie wierzą, żeby wprowadzenie euro mogło się odbyć wyłącznie dzięki decyzji rządu – kolejnego, bo Babiš jest jednym z twardszych europejskich przeciwników wspólnej waluty – z pewnością będą domagali się od swoich polityków konstytucyjnego zapisu o „prawie do gotówki". Jak mało który europejski naród Czesi w gotówce widzą ochronę przed inwigilacją, kontrolą państwa nad prywatnymi portfelami i arbitralną władzą. Praska ulica mówi wprost – co można często przeczytać tak samo w mediach, jak i w serwisach społecznościowych – że obecne tempo cyfryzacji finansów jest zbyt szybkie, a to sugeruje, że może być częścią narzuconej przez Brukselę uniformizacji.

Nie oznacza to jednak, że Czesi odrzucają płatności cyfrowe. Wprost przeciwnie – są obecnie jednym z najbardziej rozwiniętych cyfrowo narodów w Europie.

Czeska miłość do niezależności

W Pradze czy Karlowych Warach tak samo łatwo jak w Polsce możemy zapłacić w kawiarni kartą, jednak tam są przyjmowane także pieniądze z systemów płatności Apple Pay czy Google Pay, co w Polsce nie zawsze jest oczywiste. Nie tylko to – wiele sklepów i lokali godzi się również na przyjmowanie płatności w kryptowalutach, i choć wciąż płatności takie stanowią mały procent przychodów dla ich właścicieli, nikt nie odważy się zrezygnować z tej możliwości.

Pod tym względem Czesi są o krok przed Polską – jeśli nie wierzycie, spróbujcie zapłacić bitcoinem albo ethereum w restauracji w Warszawie. W większości przypadków spotkacie się z kategoryczną odmową i tylko niektórzy właściciele będą wiedzieli, o co wam w ogóle chodzi. Ale nawet u tych świadomych zapłata w kryptowalutach będzie niemożliwa.

> CZESI NIE POZOSTAWIAJĄ WĄTPLIWOŚCI – TYLKO CO CZWARTY Z NICH, A I TO NIECHĘTNIE, DOPUSZCZA ZAMIANĘ NARODOWEJ WALUTY NA EUROPEJSKI SUPER PIENIĄDZ.

Gwarancja zachowania prawa do gotówki to dla większości Czechów niezależność nie tylko od władzy – gdyby ta miała stać się zbyt autorytarna – ale również od wielkich grup kapitałowych, przede wszystkim zachodnich banków. Oszczędności w skarpecie są popularne nie tylko wśród zwykłych obywateli, ale także wśród polityków, co widać po składanych co roku zeznaniach majątkowych. Przy jednej z najniższych inflacji w Europie (2,1 proc. w grudniu 2025 r.) mogą sobie na to pozwolić. Wprawdzie Bohemia również miała swoje problemy z wysoką inflacją – w lipcu 2022 roku jej poziom przekroczył rekordowe w nowożytnej historii tego kraju 14,75 proc., ale wówczas Czesi wybrali się na wielkie zakupy, masowo wydając

eprasa.pl 3489c50c38

oszczędności pozabankowe, co paradoksalnie wzmocniło tamtejszą gospodarkę dzięki dynamicznemu wzrostowi poziomu konsumpcji. Średni poziom inflacji u naszych południowych sąsiadów od 1993 roku wynosi 4,5 proc. – to poziom akceptowalny, bo przy takiej inflacji przestaje mieć znaczenie, czy trzymamy pieniądze na nisko oprocentowanym rachunku w banku, czy w szafce z bielizną. Gotówka, jak tłumaczą Czesi, daje więcej wolności, bo nie trzeba tłumaczyć się fiskusowi, dlaczego mogli pozwolić sobie na jeden czy drugi drogi zakup.

Przykład szedł ze Słowacji

Czeska niechęć do euro to także echo przyjęcia europejskiej waluty przez Słowację, kraj, z którym Czesi byli związani przez cały XX wiek, funkcjonując w jednym państwie pod wspólną nazwą Czechosłowacja. Słowacy, przyjęci do Unii Europejskiej tego samego dnia, co ich sąsiedzi, przystąpili do europejskiej unii walutowej w styczniu 2009 roku, rezygnując z korony słowackiej na rzecz euro. Choć politycy z Bratysławy zgodzili się na wprowadzenie euro, nie był to proces dla Słowaków zupełnie bezbolesny. Już kilka miesięcy po przyjęciu nowej waluty politycy z tego kraju odrzucili wzmocnienie Europejskiego Instrumentu Stabilności Finansowej, co było postrzegane przez Brukselę (i tak przedstawiane w europejskich mediach) jako zagrożenie dla wiarygodności kraju w UE.

Pierwsze lata z nową walutą oznaczały dla Słowaków niemały wzrost cen. Na tej zmianie zarabiali wszyscy – i pośrednicy, i banki, i zwykłe sklepy, zaokrąglając ceny o kilka eurocentów w górę. I choć z czasem okazało się, że dla gospodarki słowackiej wstąpienie do Eurolandu było dobrym ruchem, w Czechach wciąż pamiętane są alarmistyczne opowieści wschodnich sąsiadów na temat nieoczekiwanych wzrostów cen i bałaganie wynikającym z nienaturalnej – ich zdaniem – zmiany (kurs wymiany w dniu przyjęcia do Eurolandu wynosił ponad 30 koron za euro). Dzisiaj statystyki mówią o stabilności, niższych kosztach transakcji i ogromnym poparciu społecznym dla wspólnej waluty. Bezspornie jednak Bratysława straciła na niezależności gospodarczej, co miało wpływ na dostępność i oprocentowanie kredytów bankowych dla Słowaków – decyzje o stopach procentowych na Słowacji zapadały we Frankfurcie przede wszystkim na podstawie danych z najsilniejszych gospodarek europejskich.

Nadwiślański wzór

Czesi nie ukrywają, że za wzór obrony niezależności walutowej przyjęli polski bank centralny i polskie zapisy w ustawie zasadniczej. Stały się jednym z sześciu europejskich krajów, które przystępując do Unii Europejskiej, wprawdzie zobowiązały się do przyjęcia euro, jednak w związku z tym, że w traktatach unijnych nie ma ani słowa o konkretnej dacie, a jedynie o spełnieniu wszystkich warunków konwergencji, czyli tzw. mechanizmu ERM II (to m.in. utrzymanie w ryzach inflacji, stały kurs wymiany własnej waluty do euro), po prostu nigdy nie wskażą konkretnego terminu przyjęcia euro i nigdy go nie przyjmą. Wpisanie czeskiej korony do konstytucji ma zapewnić Czechom jeszcze jedno – zapis ów będzie trzymał na dystans eurokratów, którzy chcieliby popędzać Pragę do przyjęcia euro. Bruksela nie ma zagwarantowanych w traktatach unijnych możliwości wpływania na kształt konstytucji poszczególnych członków Wspólnoty, nie będzie więc mogła wpływać w żaden sposób na kolejne czeskie rządy, żeby te przyspieszyły proces przyjęcia euro. Podobnie jak nie może tego zrobić w przypadku Szwecji i Danii, które również zapowiadają obronę własnej niezależności walutowej. Swojej waluty trzymają się także Węgrzy i Rumuni, choć ci ostatni zapowiedzieli, że jednak zdecydują się na przyjęcie euro, jeżeli okaże się, że tegoroczne przystąpienie Bułgarii do strefy euro wzmocni gospodarkę tego kraju.

> CZESI NIE UKRYWAJĄ, ŻE ZA WZÓR OBRONY NIEZALEŻNOŚCI WALUTOWEJ PRZYJĘLI POLSKI BANK CENTRALNY I POLSKIE ZAPISY W USTAWIE ZASADNICZEJ.

Polskiego złotego bronią prezes Narodowego Banku Polskiego, jedynego organu odpowiedzialnego za system monetarny nad Wisłą, oraz Rada Polityki Pieniężnej. Rząd Donalda Tuska również zapowiada, że nie ma w planach zastąpienia złotego europejską walutą, choć sam premier wcześniej wielokrotnie deklarował, że spełnienie warunków konwergencji umożliwi nam przyjęcie euro „już w 2012 roku". Kolejnymi datami były 2015 i 2016 rok – o nich mówił z przekonaniem Bronisław Komorowski.

Później był rok 2019, kolejne nowe daty zaś pojawiały się w każdej kampanii wyborczej. Również w tej ostatniej, kiedy Karol Nawrocki, prezydent RP, zapowiedział, że utrzymanie złotego i niezależności walutowej będzie jednym z filarów jego programu politycznego.

eprasa.pl 3489c50c38

PRAWO

Czy muszę się obawiać PODATKU KATASTRALNEGO?

Od pewnego czasu bardzo dużo mówi się o podatku katastralnym i o planach opodatkowania osób posiadających kilka mieszkań. W mediach pojawiają się informacje o podatku od trzeciego lub kolejnego lokalu, ale **trudno ustalić**, co jest faktem, a co tylko zapowiedzią. Chciałbym wiedzieć, czym dokładnie jest podatek katastralny, czy on już obowiązuje albo czy istnieje gotowy projekt ustawy oraz co to wszystko może oznaczać w praktyce dla mnie, skoro posiadam trzy mieszkania.

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Podatek katastralny to szczególny sposób opodatkowania nieruchomości, w którym podstawą naliczenia podatku nie jest powierzchnia lokalu, lecz jego wartość rynkowa. Oznacza to, że wysokość daniny byłaby bezpośrednio powiązana z ceną mieszkania lub domu, a podatek byłby wyrażony jako określony procent tej wartości, płacony co roku. Jest to zasadnicza różnica w porównaniu z obecnym systemem obowiązującym w Polsce, gdzie podatek od nieruchomości naliczany jest według stawek za metr kwadratowy i ma relatywnie niską wysokość. Obecnie podatek katastralny w Polsce nie obowiązuje. Nie ma również uchwalonej ustawy, która wprowadzałaby takie rozwiązanie do polskiego systemu podatkowego. W praktyce oznacza to, że właściciele mieszkań, niezależnie od ich liczby, nadal płacą wyłącznie dotychczasowy podatek od nieruchomości ustalany przez gminy. Warto to wyraźnie podkreślić, ponieważ wiele medialnych doniesień może sugerować, że nowe obciążenia są już przesądzone, co nie jest zgodne ze stanem prawnym. Jeżeli chodzi o etap prac legislacyjnych, to obecnie mamy do czynienia z debatą publiczną oraz zapowiedziami przygotowania przepisów, ale nie z obowiązującym prawem. Nie funkcjonuje jeszcze oficjalny, uchwalony projekt ustawy, który wprowadzałby powszechny podatek katastralny. Każda taka regulacja musiałaby przejść pełną ścieżkę legislacyjną, zostać uchwalona przez Sejm RP, zatwierdzona przez Senat, podpisana przez prezydenta oraz opublikowana z odpowiednim okresem przejściowym. Oznacza to, że ewentualne zmiany nie mogłyby wejść w życie nagle ani bez wcześniejszego uprzedzenia podatników.

Z perspektywy osoby posiadającej trzy mieszkania kluczowe jest to, że obecnie, w aktualnym stanie prawnym, nie powstanie żaden nowy obowiązek podatkowy. Nie trzeba składać dodatkowych deklaracji ani przygotowywać się na natychmiastowy wzrost obciążeń fiskalnych. Dopiero ewentualne uchwalenie nowej ustawy mogłoby zmienić tę sytuację. Z dotychczasowych zapowiedzi wynika, że rozważane rozwiązania miałyby dotyczyć głównie osób posiadających kilka nieruchomości i opierać się na ich wartości rynkowej, co mogłoby oznaczać istotnie wyższe kwoty podatku w porównaniu do obecnych stawek. Na tym etapie są to jednak wyłącznie koncepcje, a nie wiążące normy prawne. Podatek katastralny aktualnie jest w Polsce przedmiotem dyskusji, a nie obowiązującym prawem. Dla właściciela trzech mieszkań oznacza to dziś brak zmian, natomiast na przyszłość warto śledzić proces legislacyjny i opierać swoje decyzje na treści konkretnych przepisów, a nie na medialnych zapowiedziach czy skrótowych nagłówkach. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 3489c50c38

Kino katastroficzne jako opowieść O PAŃSTWIE

Pisanie dziś pochlebnych tekstów o serialu „Heweliusz” może mieć cechy **nieznośnego truizmu**. To dzieło Jana Holoubka inspirowane prawdziwą historią jednej z największych katastrof morskich w powojennej historii Polski, które na Netfliksie zadebiutowało 5 listopada zeszłego roku i bardzo szybko zrobiło prawdziwą furorę nie tylko wśród rodzimych, lecz także zagranicznych widzów. Serial zyskał miano największej produkcji telewizyjnej w najnowszej historii polskiego przemysłu rozrywkowego – łącząc sukces artystyczny z komercyjnym.

Marek Nowak



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 3489c50c38

O tym. jak bardzo cenię tę produkcję, niech świadczy fakt, że na mojej osobistej liście najważniejszych wydarzeń 2025 roku ze świata rodzimej kultury i popkultury „Heweliusz" zajmuje pierwsze miejsce. Obraz ten wart jest zapamiętania i ciągłych dyskusji nie tylko ze względu na swój wymiar kulturowy czy emocjonalny, lecz także dlatego, że twórcom udało się poprzez bardzo sprawnie zrealizowaną mieszankę kina katastroficznego i dramatu sądowego opowiedzieć kilka ważnych rzeczy na temat funkcjonowania państwa.

Kino gatunkowe z ambicjami

Jan Holoubek, syn sławnej aktorskiej pary Magdaleny Zawadzkiej i Gustawa Holoubka, swoją przygodę z kinem zaczynał jako operator. To funkcja często niedoceniania, jednak niezwykle ważna. O ile literatura zawsze jest sztuką opowieści tkanej słowem, o tyle kino jest sztuką ontologicznie kinetyczną, w której obraz i ruch stanowią niezwykle istotny element budowania narracji. Holoubek doskonale rozumie kino i wie też, że – zwłaszcza w przypadku kina gatunkowego – aby produkcja miała szansę się przebić, musi być dobrze zrealizowana pod kątem filmowego warsztatu.

Jednak w jego produkcjach filmowa rozrywka zawsze spotykała się z pewną socjologiczną obserwacją. Tak było już w przypadku pierwszego „Rojsta", serialu z 2018 r., wyprodukowanego przez Showmax (później serial przejął Netflix). Był to przepełniony gęstym klimatem sugestywny kryminał, lecz także coś więcej. Twórcy udało się dobrze uchwycić społeczną i duchową pustkę czasu normalizacji Jaruzelskiego w połowie lat 80. ubiegłego wieku. Akcja drugiego sezonu rozgrywała się w 1997 r. podczas wielkiej powodzi.

Na marginesie opowieści kryminalnej mamy bardzo krytyczny obraz polskiej transformacji. Społeczeństwa pozostawionego samemu sobie, mediów, które zamiast ujawniać podejrzane interesy – osłaniają je, czy policji i prokuratury nastawionych na to, by niczego nie wyjaśniać wszędzie tam, gdzie mogłoby to choćby potencjalnie naruszać lokalne układy władzy.

Holoubek ma dar opowiadania poprzez dygresje, drobne, ale celne obserwacje. Dar ten rozwinął jeszcze bardziej, gdy z kryminałów przeszedł do kina katastroficznego. Znakomita „Wielka woda" z 2022 r., czy przywoływany już, najlepszy w reżyserskim dorobku Holoubka „Heweliusz", to produkcje, w których twórcy udało się pod postacią kina gatunkowego zawrzeć ważne refleksje na temat funkcjonowania państwa.

Co łączy „Wielką wodę" z „Heweliuszem"?

Zarówno w „Wielkiej wodzie", jak i „Heweliuszu", mamy typową dla gatunku opowieść o ludzkiej bezsilności w zderzeniu z budzącymi grozę siłami natury. Oba przedstawiają wachlarz ludzkich reakcji na sytuacje zagrożenia. Oczywiście są też różnice. „Wielka woda" to klasyczne kino katastroficzne, podczas gdy „Heweliusz" jest gatunkową hybrydą kina katastroficznego z dramatem sądowym.

Tempo obu produkcji, sposób prowadzenia narracji czy ich klimat znacząco od siebie odbiegają. Jednak jeśli przyjrzymy się obu serialom, to zobaczymy, jak bardzo są do siebie podobne. Zarówno w warstwie diegetycznej, ale też w warstwie socjologicznej w obu historiach mamy do czynienia z obrazem znajdującej się w niedziałającej państwowej machinie bezradnej jednostki, która w sytuacji kryzysu jest bezlitośnie deptana przy użyciu instytucjonalnej przemocy.

Państwo nie działa w „Wielkiej wodzie". Wojskowi posługują się nieaktualnymi mapami, a SLD-owski wiceminister zatrzymuje konieczne działania przeciwpowodziowe, bo chce politycznie brylować na nieodwołanych regatach. Jedni ignorują zagrożenie, a drudzy, ci, którzy zdają sobie sprawę z jego wagi, są bezradni wobec instytucjonalnej niemocy i wszechobecnej byleja-

ZARÓWNO W „WIELKIEJ WODZIE", JAK I „HEWELIUSZU" BEZRADNA JEDNOSTKA W SYTUACJI KRYZYSU JEST BEZLITOŚNIE DEPTANA PRZY UŻYCIU INSTYTUCJONALNEJ PRZEMOCY.

kości. W krytycznej sytuacji pada decyzja, że aby ratować duże miasto (Wrocław) przed zalaniem, należy poświęcić kilka okolicznych wsi, co wywołuje konflikt z ich

eprasa.pl 3489c50c38

mieszkańcami, którzy nie wierzą w żadne państwowe rekompensaty.

W „Heweliuszu" również mamy niedziałające państwo, które manifestuje się nam pod postacią porażającej liczby zaniedbań poprzedzających feralny rejs. Stan techniczny promu był fatalny i już w przeszłości miewał on bardzo poważne problemy, których waga była permanentnie ignorowana. Po remoncie Heweliusza w hamburskiej stoczni, mimo że zgodnie z przepisami powinno się przeprowadzić próby przechyłowe, nie zrobiono tego. Podczas remontu wylano jeden z pokładów betonem. Według specjalistów mógł wtedy zmienić się znacznie środek ciężkości tego promu. W czasie feralnego rejsu „Heweliusz" był przeciążony ładunkiem, a kapitan nie został ostrzeżony przed możliwą zmianą pogody. Próba uniknięcia kolizji z małym niemieckim statkiem handlowym, która wymusiła na załodze polskiego promu wykonanie gwałtownego zwrotu przy ekstremalnie niekorzystnych warunkach (sztorm 12 stopni w skali Beauforta), była jedynie finałem od dawna zapowiadającej się katastrofy. Tuż po niej państwo, które w kwestii działalności instytucjonalnej, czy też egzekwowania procedur mogących uchronić przed katastrofą, pokazuje kompletną indolencję, zaczyna używać swojej siły, by w imię interesów silniejszych (obrona armatora) poświęcić słabszych (krzywda rodzin ofiar – to właśnie ofiary katastrofy obarcza się winą za zatonięcie promu).

SILNE PAŃSTWO MA SILNE I SPRAWNIE DZIAŁAJĄCE INSTYTUCJE ORAZ ROZWINIĘTĄ KULTURĘ DEMOKRATYCZNĄ, W TYM DBAŁOŚĆ O PRZESTRZEGANIE PROCEDUR.

Dwa ostatnie odcinki serialu to wręcz modelowy przykład sądownego „mordowania prawdy". Uczestniczą w nim zarówno instytucje państwa, jak i patronujący im politycy – tym razem o rodowodach solidarnościowych (to okres rządów Hanny Suchockiej). Jeśli zestawimy „Wielką wodę" z „Heweliuszem", to wyraźnie widać, że w drapieżnym społeczno-politycznym wymiarze filmowych opowieści Holoubka nie chodzi o to, by pognębić konkretny rząd czy też konkretne środowisko polityczne, lecz raczej by postawić szerszą diagnozę o funkcjonowaniu państwa. A może także o rozprawienie się z bardzo silnym w Polsce politycznym mitem.

Kogo chroni słabe państwo?

Mit ten funkcjonuje zarówno po stronie liberalnego mainstreamu, jak i leseferystycznej prawicy i budzi ogromny lęk przed silnym państwem. W jego optyce omnipotentne państwo miałoby tłamsić jednostkę, pozbawiać ją rozmaitych wolności i w najróżniejszy sposób uciskać. Tymczasem Holoubek pokazuje, że dużo bardziej niebezpieczne może być państwo słabe.

Silne państwo ma silne i sprawnie działające instytucje oraz rozwiniętą kulturę demokratyczną, w tym dbałość o przestrzeganie procedur. W sytuacjach kryzysowych ma więc rozmaite narzędzia umożliwiające adekwatną reakcję. Słabe państwo samo siebie pozbawia większości narzędzi. Robi to z powodów ideologicznych (w myśl zasady „im mniej państwa, tym lepiej" oraz że państwo powinno być tanie). Gdy więc nie ma narzędzi, albo są one zbyt słabe, by sprawnie funkcjonować, to jedyne, co mu pozostaje, to „pierwotna siła" każdego państwa, czyli aparat przemocy. W sytuacjach kryzysowych słabe państwo zawsze więc będzie po niego sięgać, bo to jedyne, co ma. Podobnie jak w produkcjach Holoubka z reguły będzie silne wobec słabych i słabe wobec silnych.

Ta charakterystyka często niestety dobrze opisuje Polskę po 1989 roku. Tę słabość naszego państwa dobrze widział śp. Lech Kaczyński. Podniesieniu jej jako istotnego politycznego i społecznego problemu zawdzięczał m.in. zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2005 roku. Jan Holoubek, twórca o liberalno-lewicowej tożsamości ideowej, z pewnością w wielu miejscach bardzo odległej od ideowej tożsamości Lecha Kaczyńskiego, wiele lat później w swoich dziełach piętnuje tę samą słabość.

Czy dzisiejsi piewcy dziadowskiego państwa z części prawicy i liberalnego centrum posłuchają tego głosu? To raczej mało prawdopodobne. Niemniej zadaniem twórcy jest czasem wzięcie na siebie niewdzięcznej roli bycia głosem wołającego na pustyni. A im więcej wołających, tym większa szansa, że ten głos zostanie kiedyś usłyszany.

eprasa.pl 3489c50c38

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Cezary Krysztopa

Wolę pozostać mentalnym „wieśniakiem”

Jestem człowiekiem wsi. Choć Michałowo, z którego pochodzę, jest już oficjalnie miastem, to jednak od niedawna. Ja wychowałem się (urodziłem się w Białymstoku) i wiele lat przeżyłem w Michałowie, które było wsią.

Mało tego, wiele lat w Michałowie przemieszkałem na osiedlu bloków. Moi rodzice nie byli rolnikami, mój śp. Tata był nauczycielem, a moja śp. Mama była położną. Jednocześnie jednak 90% mojej rodziny i od strony Mamy, i od strony Taty, prowadzi lub prowadziło gospodarstwo rolne, albo przynajmniej pomagało przy nim. Ja również z racji zakrętów życiowych od młodego pracowałem, choćby najmując się jako parobek.

Oczywiście, że nie znam wszystkich ludzi wsi, nie znam wszystkich rolników, nie prowadziłem w tym zakresie żadnych badań. I oczywiście, że jacy by ludzie wsi nie byli, to są różni. Ale wydaje mi się, że podlaską wieś znam całkiem dobrze. I zdecydowanie tam o wiele bardziej czuję się u siebie niż w jakimkolwiek mieście.

Mało tego, że czuję się tam u siebie, to nadzwyczaj sobie cenię coś, co potocznie nazywa się „zdrowym, chłopskim rozumem”. W dzisiejszych czasach najłatwiej manipulować tymi, którzy najwyżej zadzierają nosy, tymi, którzy mają się za „elity”. Wystarczy zapewniać im „poczucie wyższości”. A najśmieszniejsi pośród nich są tacy, którzy choć niedawno wyjechali ze wsi, czują się „lepsi”, „bo mieszkają już w mieście” i już „mają poglądy, jakie trzeba”. A najbardziej żałosna jest kasta „profesorów” opowiadających najbardziej oderwane od rzeczywistości androny z miedzianymi czołami. Wszyscy oni karmią swoje kompleksy wywyższaniem się ponad „wieśniaków”.

A ja się wielokrotnie przekonałem o tym, że choć sam staram się do „miastowych” nie „awansować”, to przed „zdrowym chłopskim rozumem” muszę ustąpić. Jak na przykład w sprawie członkostwa w Unii Europejskiej. Wiele lat temu namawiałem tyle osób na głosowanie w referendum „za”. Mimo wszystko. Wtedy słyszałem: „Zobaczysz, z tego będzie jakieś nieszczęście”. I co? Dziś Polska stoi na krawędzi pozbawienia suwerenności. Wychodzi na to, że nie miałem racji.

I podobnie, mam wrażenie, jest teraz, z tymi wszystkimi „piątkami dla zwierząt” czy „uwalnianiem psów z łańcuchów” ukazującymi, jak ta wyższościowa „wielkomiejska” mentalność przekracza podziały polityczne. Ja na wsi od lat nie widzę psów na łańcuchach. Zdjęcia, które są masowo wrzucane przez tę świrownię do mediów społecznościowych, to zdjęcia stockowe, pochodzące najczęściej z Azji. A ci, którzy je kolportują, często sami trzymają psy na balkonach, gdzie te wyją całymi dniami ku utrapieniu sąsiadów. We wszystkim zdarzają się patologie, ale czy pies pracujący na łańcuchu, spuszczany na noc i zabierany na wycieczki naprawdę ma gorzej od psa mordującego się w miastowej kawalerce?

Dlatego wyjcie sobie, krzyczcie i mnie wyklinajcie, ja wolę zostać mentalnym „wieśniakiem”.

eprasa.pl 3489c50c38

Prawda nie zatonie. Katastrofa promu Sewol

Wygląda to **dziwnie znajomo**, choć nie ma zimowego sztormu. Obojętna woda, stalowe niebo, pod nim przekrzywiony, zanurzający się w wodzie statek. Liczne ofiary w ludziach, wady promu, który nie powinien wypłynąć w morze, chciwość armatora. Nadmierna beztroska i nadmierne obciążenie, kłamstwa władz, śledztwo, narodowa trauma. Katastrofa koreańskiego promu Sewol, 16 kwietnia 2014 r.

Krzysztof Karnkowski



Prom Sewol w porcie w Mokpo po katastrofie

eprasa.pl 3489c50c38

Najgorsza jest nagła myśl, że to nie jest filmowa rekonstrukcja przerażających zdarzeń, a autentyczny zapis tragedii. 2014 r. to moment, gdy każdy ma już telefon. Na miejscu dość szybko pojawiają się ratownicy, inne statki, rybacy. Są też nagrania z telefonów uwięzionych na statku uczniów. Ofiary to bowiem głównie uczniowie szkoły średniej Danwon z Ansan, wybierający się na wycieczkę do turystycznego raju Koreańczyków, na wyspę Czedżu. Prom Sewol nie był jednak wyłącznie statkiem pasażerskim i zapewne stąd wzięło się całe nieszczęście.

Prom czy złom?

Sewol został kupiony w Japonii, gdzie przez pierwsze lata swojej służby nie sprawiał problemów. Koreańskim właścicielem została mocno zadłużona firma Chonghaejin z siedzibą w Incheon, czołowym ośrodku transportowym południowej części półwyspu. Lotniczym (port lotniczy w Incheon od lat jest partnerem projektu CPK), ale też morskim. Szefostwo Chonghaejin postanowiło przebudować prom za olbrzymią kwotę kilkunastu milionów dolarów, zwiększając zarówno zdolności transportu pasażerskiego, jak i cargo. Renowacja nie pozostała jednak obojętna dla konstrukcji statku, doszło do przesunięcia się jego środka ciężkości. Pomimo potencjalnych problemów z równowagą Sewol został warunkowo dopuszczony do eksploatacji przez odpowiedzialnych za żeglugę urzędników Koreańskiego Rejestru Statków. Warunki, na które składały się limity wagi cargo ustalone poniżej przewidzianych przez właścicieli możliwości promu oraz zwiększenie balastu, feralnego dnia nie zostały dotrzymane. Co więcej, od początku były ignorowane przez Chonghaejin, a stosowne informacje nigdy nie dotarły z urzędu do odpowiednich służb. Jakby tego było mało, w śledztwie okazało się, że nawet wyjściowe dane dostarczone do Rejestru zostały sfałszowane. I na tym jednak nie koniec – już po uzyskaniu odpowiednich zgód, w ramach ostatecznego przygotowania statku, dodano do niego ważące kolejne 37 ton elementy z marmuru. To nie mogło się dobrze skończyć.



Fot. Wikipedia

Ostatni rejs

W swój ostatni rejs Sewol wypłynął z kilkugodzinnym opóźnieniem, które spowodowało nieplanowane roszady wśród załogi. Gdy zaczął się kryzys, najważniejsze zadania spoczywały w rękach osób najmniej doświadczonych, a kapitan znajdował się w swojej kajucie. Część marynarzy nie doszła do siebie po nocnej imprezie, niektórzy pili alkohol również później, nawet podczas trwania akcji ratunkowej i oczekiwania na pomoc. Postawa załogi to jeden z elementów całego dramatu. Starsi marynarze ewakuowali się pierwsi, młodszym każąc ratować przerażone dzieciaki. Czy to kwestia wyrachowania, czy wychowania, to pytanie do specjalistów od azjatyckiej mentalności, ale wychowanie odegra tu jeszcze swoją dramatyczną rolę. Najmłodsi członkowie załogi zginęli, próbując pomagać uczniom. W ludzkiej pamięci jako bohaterka zapisała się Park Ji-young, która oddała swoją kamizelkę ratunkową młodej uczestniczce wycieczki, która jako jedna z niewielu przeżyła. Jednak to starsi marynarze są w dużym stopniu winni temu, co się stało, i właściwie trudno do końca

eprasa.pl 3489c50c38

zrozumieć ich motywy. Gdy sami szykowali się już do ucieczki, kazali zdezorientowanym, lecz nie zdającym sobie sprawy z powagi sytuacji uczniom po prostu czekać, a ci zdali się na ich doświadczenie i autorytet. To podczas tego oczekiwania powstały dramatyczne świadectwa, filmy, wideopołączenia i rozmowy z rodzicami. Jak się okazało, ostatnie.

Trudno uwierzyć

Dramat statku zaczął się rano. W wyniku wielu błędnych decyzji dotyczących kursu wydanych przez młodszą oficer pod nieobecność kapitana statek zaczął się przechylać. Nerwowe manewry pogorszyły sytuację, a gwałtowny przechył przewożonych towarów przesądził o dalszym losie jednostki. Zaledwie sześć minut po fatalnej zmianie kursu, o godz. 8.52, prom Sewol zaczął tonąć. Zamiast natychmiast rozpocząć akcję ratunkową, załoga nadała przez megafony polecenie pozostania na swoich miejscach. Dopiero chwilę później ze statku zaczęły docierać wezwania o pomoc kierowane jednak przez młodzież, nie załogę, co zapewne wpłynęło na dość późne rozpoczęcie jakiejkolwiek akcji. Działania obsługi promu były tymczasem mocno chaotyczne, a kapitan pojawił się na mostku jako ostatni, w bieliźnie i bez butów, za to jako jeden z pierwszych ewakuował się ze swojej jednostki. Ten obraz na długo zostanie jednym z symboli kwietniowego dramatu. Wkrótce potem do statku dopłynęli rybacy, którzy rozpoczęli na własną rękę ratowanie pasażerów, jednak pomóc mogli tym, którzy zdecydowali się nie posłuchać dorosłych i opuścić Sewol, a takich wciąż było niewielu. Również straż przybrzeżna, w co trudno uwierzyć, nie zajęła się osobami pozostałymi na statku i pomocy udzielała jedynie tym, którzy byli już poza nim. Działania strażników były także chaotyczne i nieskoordynowane, jak wcześniejsze postępowanie załogi. W dalsze wydarzenia jeszcze trudniej uwierzyć. Po godz. 11.00 straż przybrzeżna wydała komunikat, że wszyscy uczestnicy rejsu zostali uratowani. Wiadomość ta dotarła od razu do zgromadzonych już w jednym miejscu rodziców, jednak ich radość szybko ustąpiła miejsca zwątpieniu i przerażeniu – w kolejnych komunikatach liczba ocalonych zaczęła topnieć, pojawiały się informacje o zaginionych, a później o ofiarach. Ostatecznie okazało się, że w katastrofie zginęło 306 osób, w tym dwoje ratowników, a 176 zostało rannych. Choć na miejscu działała również marynarka, akcja ratunkowa w olbrzymim stopniu okazała się porażką. Pogrążył ją chaos decyzyjny i działania dające się wytłumaczyć tylko oportunizmem. Nie była to porażka ostatnia – po większości załogi i dowódcach akcji ratunkowej zawiodły również władze polityczne.

GDY ZACZĄŁ SIĘ KRYZYS, NAJWAŻNIEJSZE ZADANIA SPOCZYWAŁY W RĘKACH OSÓB NAJMNIEJ DOŚWIADCZONYCH, A KAPITAN ZNAJDOWAŁ SIĘ W SWOJEJ KAJUCIE.

Fałszywa nadzieja i prawdziwa wściekłość

Gdy rodzice, których desperację po tej koszmarnej grze z ich emocjami możemy sobie tylko wyobrazić, zniecierpliwieni przebiegiem akcji postanowili wyruszyć do Niebieskiego Domu (siedziby prezydenta Korei), zostali zablokowani przez policję, uniemożliwiono im też wynajęcie autokarów i powrót do Seulu. Prezydent Park Geun-hye do sprawy odniosła się dopiero po kilku godzinach, znajdując po drodze czas na spotkanie ze swoją fryzjerką. Jej postawa podczas akcji ratunkowej w przyszłości stanie się jednym z powodów wielkiej wściekłości, która skończy się masowymi protestami, jej impeachmentem i aresztowaniem. Jej rządy to temat na oddzielną opowieść. Córka zamordowanego przez własną ochronę autorytarnego przywódcy z lat 60. i 70. miała być nadzieją koreańskiej prawicy. Jednak jej kadencja okazała się czasem korupcji, podporządkowania polityki państwa kilku koncernom i... poradom szamanki, z której usług korzystała pani Park.

Po katastrofie wiele osób w Korei i na świecie zaczęło nosić symboliczne żółte wstążki mające symbolizować nadzieję na odnalezienie zaginionych ofiar. Gdy jednak narastało rozczarowanie, a na światło dzienne wychodziły kolejne zaniedbania i błędy władz, wstążki zmieniły swoje znaczenie i stały się demonstracją sprzeciwu. Jako takie zostały zabronione przez władze szkolne. W pierwszą rocznicę dramatu rodziny ofiar zorganizowały w Seulu demonstrację, która została brutalnie rozpędzona przez siły policyjne. Świadkowie i niezależni komentatorzy oceniali, że z podobną agresją ze strony policji wymierzoną w protestujących obywateli Korea Południowa nie miała do czynienia od czasu upadku

eprasa.pl 3489c50c38

dyktatury pod koniec lat 80. Prezydent Park nawiązała tym samym do najgorszych tradycji swojej obciążonej mało chlubną przeszłością bazy politycznej. Tymczasem rodzice dzieci z promu Sewol spotykali się z ohydną nagonką medialną (dla pamiętających nasz Smoleńsk nie będzie niespodzianką, że zarzucano im przede wszystkim pazerność i chęć wykorzystania śmierci dzieci do mnożenia żądań finansowych), wyśmiewaniem i atakami ze strony mocno prawicowych internautów, którzy w swoim zachowaniu nie różnili się od naszych sympatyków Janusza Palikota na Krakowskim Przedmieściu kilka lat wcześniej. Pewnym pocieszeniem mogły być jedynie wyroki wydane na załogę, której win, inaczej niż w przypadku państwa i służb, nie dało się w żaden sposób rozmyć. Kapitan promu Lee został skazany na 36 lat więzienia, zmienione później na dożywocie, jego oficerowie otrzymali wyroki 15 i 20 lat. Starszy mechanik, który porzucił na pastwę losu dwóch współpracowników, skazany został na 30 lat więzienia. Po pewnym czasie ustalono, że firma Chonghaejin, w której wykryto liczne nadużycia, miała niejawnego właściciela, ukrywającego się przed opinią publiczną i wymiarem sprawiedliwości. To właśnie Yoo Byung-on miał ignorować sygnały o niezdolności promu do dalszej służby. Być może Yoo nie zdołał jednak ukryć się przed własnym sumieniem: w czerwcu 2014 r. został znaleziony martwy, a śledczy ustalili, że popełnił samobójstwo.

Prawda nie zatonęła

W tym samym roku doszło do skandalu związanego z pierwszym poświęconym katastrofie filmem dokumentalnym „The Truth Shall Not Sink with the Sewol" („Prawda nie zatonie wraz z Sewolem"). Dokument miał zostać pokazany podczas międzynarodowego konkursu filmowego w Pusan, jednak władze miasta, w tym zasiadający w komitecie organizacyjnym burmistrz, próbowały zablokować pokaz. Gdy jednak do niego doszło, zmniejszono finansowanie imprezy, co z kolei sprawiło, że przez pewien czas była ona bojkotowana przez niektórych twórców. Film można dziś obejrzeć na YouTubie, tymczasem nim doszło do politycznej zmiany w Korei, zaczęły zmieniać się społeczne nastroje. Jednym z sygnałów tej przemiany było zainteresowanie twórców koreańskiego komercyjnego kina filmami katastroficznymi, w których wina z reguły przypisywana była czynnikowi ludzkiemu – decydentom, przedsiębiorcom, politykom. Przykładem tej fali może być dostępny w kilku polskich serwisach streamingowych „Tunel" z 2017 r., w którym mamy właściwie wszystko, co widzowi mogło skojarzyć się z Sewolem – wielką katastrofę, chciwość i arogancje, wreszcie pozorowaną akcję ratunkową. Reżyserem „Tunelu" jest Seong-hun Kim, znany z wampirycznego, kostiumowego serialu „Kingdom" kręconego dla Netfliksa. Katastrofy w kinie koreańskim obecne były już wcześniej, ale w tytułach nakręconych po styczniu 2014 r. widzowie i krytyka często szukali tropów niewygodnych dla ówczesnych władz. Ten nastrój przyczynił się też do popularności filmów rozliczających się z czasami dyktatury, a wszystko razem stało się napędem politycznej zmiany. Jak jednak pokazała przyszłość – kruchej i niekonsekwentnej.

KAPITAN PROMU LEE ZOSTAŁ SKAZANY NA 36 LAT WIĘZIENIA, ZMIENIONE PÓŹNIEJ NA DOŻYWOCIE, JEGO OFICEROWIE OTRZYMALI WYROKI 15 I 20 LAT WIĘZIENIA.

Będą następni

Od katastrofy minęło już 11 lat. Na 306 osobach liczba ofiar się nie skończyła, dopisać do niej trzeba samobójstwa zrozpaczonych rodziców, być może też śmierci jakiejś grupy spośród nich z powodu stanu zdrowia, który bez tak wielkiego stresu nie uległby szybkiemu pogorszeniu. Po Sewolu pozostała pamięć o uczniach ożywiana przez ich własne świadectwa i determinację rodzin. Dopracowano część przepisów i zaostrzono kontrolę statków. Czy zmieniła się polityka państwa i nastawienie odpowiadających za ludzkie życie i zdrowie przedsiębiorców? Po drodze wymieniły się ekipy polityczne, mieliśmy procesy, amnestie, zmiany prezydentów, a nawet jeden nieudany zamach stanu, niestety przydarzyło się też kilka tragedii. Największa z nich zdarzyła się w modnej dzielnicy Seulu Itaewon, gdzie podczas spontanicznej imprezy halloweenowej, pierwszej po czasie pandemicznych obostrzeń, w nieopanowanym przez nikogo tłumie, w ścisku straciło życie 159 osób. Wcześniej służby nie reagowały na sygnały o zagrożeniu, później dramatowi znów towarzyszył chaos, w efekcie zaś pojawiły się bardzo podobne oskarżenia wobec władz. W dyskusjach powtarzało się stwierdzenie, że to drugi Sewol, który wydarzył się na lądzie. Uczniowie z promu po latach dostali honorowe dyplomy ukończenia szkoły. Żyjący swojej lekcji chyba jednak nie odrobili.

eprasa.pl 3489c50c38

KULTURA

Czytaj też:

W kostiumie człowieka 54

Duchowe misterium w operze 56

Dlaczego biografie? 60



Robię, co do mnie należy

– Im dłużej żyję, tym bardziej jestem realistką. Jestem melancholijna, ale to nie oznacza, że widzę świat w ciemnych barwach, bo realizm bardziej rozjaśnia wzrok. Wcześniej optymistycznie patrzyłam na wszystko, teraz to się uspokoiło – mówi **VALENTINA**, wokalistka, aranżerka, autorka muzyki i tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Anna Antoniewska

„VALENTINA vol. 2. Przewróciłam stronę” – to **drugi mini album artystki** powstały we współpracy z Adamem „bieranem” Bieranowskim. Wydawnictwo składa się z czterech utworów – filarów zbudowanych z okoliczności, które przeprowadziły artystkę przez kolejne etapy dojrzewania jako osoby i jako kobiety. Były to różne wydarzenia: od wyjścia z depresji, przez poszukiwanie wsparcia i miłości, po rozstanie z wdzięcznością za wspólny czas, aż po moment stanięcia twardo na ziemi i nauczenia się bycia dla siebie przyjacielem. Może na nowo, a może po raz pierwszy w życiu – naprawdę.

– Nawiążę do Twojego pseudonimu artystycznego – musisz dostarczać naszym słuchaczom dużo miłości.
– Walentynką jestem tylko dla wyjątkowej osoby.

– Kim jesteś?
– To jest bardzo ogólne pytanie i myślę, że trudno mi będzie na nie odpowiedzieć nawet na starość.

– Jak chcesz przekonać słuchaczy do sprawdzenia Twojej najnowszej EP-ki?
– Nie przekonuję nikogo, by mnie słuchał.

– O! To takie nietypowe podejście.
– Skłanianie kogoś do czegoś jest bardzo męczące. Wierzę w to, że ludzie znajdą mnie sami.

LUBIĘ AUTOIRONIĘ, DZIĘKI TEMU WIELE RZECZY SZYBCIEJ MI PRZECHODZI.

– Z tym może być ciężko.
– Robię to, co do mnie należy. Piszę muzykę, prowadzę social media, pracuję strategicznie, przede wszystkim nie udaję. Wyskakiwanie z lodówki jest bardzo męczące energetycznie. Bardzo dużo mnie kosztuje robienie czegoś tylko po to, by się komuś przypodobać. W moim przypadku to nie działa. Staram się być konsekwentna w publikacjach i nawiązuję kontakty.

– Jak wygląda Twój świat?
– Bardzo bezprzemocowo [śmiech].

– Powiesz coś więcej?
– Uprawiam sporty. Mam lekcje pianina, wokalu i tańca. Jestem trenerką wokalu.

– Czyli uczysz śpiewać?
– Tak. Robię to na szeroką skalę, choć bardzo tego nie promuję. Uczniowie sami mnie znajdują. Jestem ich mentorem i przyjacielem. Tworzymy społeczność. Zajmuję się ludźmi, poświęcam im uwagę. Staram się pilnować, gdyż przeżyłam raz dość mocne wypalenie zawodowe i nie chciałabym tego powtarzać.

– Co było przyczyną tego wypalenia?
– Pęd. Za dużo rzeczy jednocześnie. Robiłam sporo. Zawsze utrzymywałam się sama i przy okazji wydawałam pierwszy album. Doszedł do tego mój perfekcjonizm. Musiałam sobie to wszystko przewartościować, bo się wyczerpałam.

– Przez pośpiech i pęd?
– Można tak powiedzieć.

– Co jest najtrudniejsze w uczeniu?
– Każdego dnia człowiek jest inny i jego ciało reaguje inaczej. Często nie jest świadomy tego, że tak się dzieje. A ja chcę nad tym pracować, bo zawsze moim celem jest pomoc uczniom.

– Każdy może śpiewać?
– Głos to mięśnie, więc w teorii tak. Pytanie jak?

– Jak?
– Wszystko jest bardzo indywidualne, to zależy od poziomu i predyspozycji ucznia. Najgorzej jest, jeżeli dana osoba nie ma słuchu muzycznego, wtedy jest bardzo ciężko nauczyć kogoś śpiewu. W większości ludzie słyszą, są elastyczni, więc ich mózgi są w stanie nauczyć się śpiewania.

– Na czym polega w Twoim przypadku „przewrócenie strony”?
– W każdy sposób, nawet fizycznie. Wciąż trwa etap przewracania w moim życiu. Zainspirowała mnie do tego książka, w której był wątek „przewracania” życia na nowo.

– Na Twojej EP-ce jest dużo o problemach życiowych. Jak sobie z nimi radzić? Jak z nich wychodzić?
– Każda piosenka dotyczy innych problemów.

– Możemy to rozłożyć na czynniki pierwsze?
– Co Cię interesuje?

– Mnie najbardziej interesują rozstania, problemy w związkach.
– Nie ma na to leku. Żałobę trzeba przejść. Każdy coś wnosi w nasze życie i są to dla nas cenne lekcje. Często zdarza się, że osobę, z którą się rozstajemy, dewaluujemy w każdy możliwy sposób. Nie warto.

– Co powoduje u Ciebie smutek?
– Im dłużej żyję, tym bardziej jestem realistką. Jestem melancholijna, ale to nie oznacza, że widzę świat w ciemnych barwach, bo realizm bardziej rozjaśnia wzrok. Wcześniej optymistycznie patrzyłam na wszystko, teraz to się uspokoiło.

eprasa.pl 3489c50c38

– Co powoduje u Ciebie słabość i do czego ją masz?
– Jest to bardzo trudne do ubrania w słowa. Czuję, że pewne rzeczy mnie osłabiają. Czasami niektóre przeżywam i nie jestem w stanie tak szybko się pozbierać, chociaż i tak daję radę. Chciałabym bardziej przepuszczać emocje przez siebie. Cały czas się tego uczę.

– Co zrobić, żeby być swoim przyjacielem, a nie ciągle się dołować?
– Warto zacząć przede wszystkim od poznania siebie. Im bardziej się poznasz, tym mniej będziesz w stanie być dla siebie wrogiem. Nawet jeśli popełniasz błędy, to się do nich przyznajesz, ale nadal stoisz po swojej stronie. No bo dlaczego nie? Kto, jak nie Ty?

– Skąd u Ciebie taki kontrast w tekstach?
– Tak mi jest łatwiej radzić sobie z emocjami. Lubię autoironię, dzięki temu wiele rzeczy szybciej mi przechodzi.

– Powiedziałaś, że Twój najnowszy album to jest twardy krok na ziemi. Co to oznacza?
– Podjęłam duże ryzyko i wyzwanie.

– W związku z czym?
– Z produkcją płyty, która wymagała ode mnie wiele wysiłku w każdym aspekcie. W ubiegłym roku miałam tylko trzy dni wolnego od maja do grudnia.

– Do kogo chcesz trafić ze swoją muzyką?
– Słuchają mnie głównie młode osoby aż do 45. roku życia. To są inteligentni ludzie, którzy mają duże pokłady wrażliwości.

– Jak przekuć ból w uśmiech?
– To nie jest kwestia techniczna. To są wyłącznie przeżycia i doświadczenia.

Valentyna Maslovska

Artystka o polsko-ukraińskich korzeniach. Do 16. roku życia wychowywała się na Ukrainie, a od tamtej pory mieszka i tworzy w Polsce. Swój wokalno-kompozytorski warsztat szlifowała na kierunku jazz i muzyka rozrywkowa, który ukończyła z wyróżnieniem. Jest również absolwentką filologii angielskiej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Komponować zaczęła już na studiach, poszukując własnego artystycznego języka w różnych gatunkach – od jazzu, przez folk, po alternatywny pop. Obecnie jej muzyka to połączenie organicznego brzmienia żywych instrumentów z nowoczesną produkcją. Balansuje między popem a indie, z elementami innych stylistyk. Artystka wyróżnia się imponującym warsztatem wokalnym oraz ciepłą, eteryczną barwą głosu, która przyciąga uwagę i buduje magnetyczny kontakt z publicznością.

VALENTINA to jej autorski projekt, który rozpoczęła w 2020 roku, zapraszając do współpracy zaprzyjaźnionych muzyków. Efektem tej pracy jest debiutancki album „VALENTINA vol. 1. Początki" (2024), nagrany po wygranym konkursie #free30. Płyta zdobyła uznanie krytyków, znalazła się wśród 10 najlepszych albumów Podkarpacia i zajęła III miejsce w głosowaniu na Nagrodę Publiczności w plebiscycie Werbel 2023. Zawiera dziewięć autorskich utworów oraz dwa bonus tracki. Każda kompozycja stanowi osobistą refleksję nad życiową i twórczą drogą artystki. Album oparty na brzmieniu live bandu łączy świeżość z muzyczną dojrzałością.

W 2022 roku Valentyna współtworzyła zespół Midsommar poruszający się w estetyce shoegaze i dream pop. Pełniła w nim rolę wokalistki, autorki tekstów i współkompozytorki. Zespół wystąpił m.in. na OFF Festival, Soundrive Festival, Great September oraz w wielu przestrzeniach koncertowych w całej Polsce.

Jest laureatką ogólnopolskich festiwali i konkursów, takich jak Cała Jaskrawość, Dino Top, Piosenka w Meloniku, #free30 oraz programu telewizyjnego „Szansa na Sukces". Jej występ w programie spotkał się ze szczególnym zainteresowaniem, zdobywając ponad 200 000 wyświetleń na kanale YouTubie.

Artystka koncertowała m.in. w Filharmonii Podkarpackiej, Piwnicach Rzeszowskich, Estradzie Rzeszowskiej, Klubie NOWA w Poznaniu, Klubie Chmury w Warszawie, w ramach Europejskiego Stadionu Kultury oraz w wielu innych prestiżowych miejscach.

eprasa.pl 3489c50c38

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

FAUSTI – KIEDY NA MNIE PATRZYSZ
WYD. EKIPA



Influencerki przejmują rynek muzyczny. Znają się na wszystkim, obserwują ich miliony. To dlaczego by nie spróbować sił w muzyce? Tym tropem poszła Fausti, a młodzi odbiorcy i tak sprawdzą, co usmażyła. A na ruszcie znalazły się wszystkie popularne estetyki w muzyce środka. O tekstach nie ma co pisać, bo szkoda na to miejsca. Jeżeli chcecie wiedzieć, jak brzmi definicja muzyki użytkowej, to sprawdźcie płytę. EP-ka trwa 14 minut. Jednak pamiętajmy, że liczby to nie wszystko. Z drugiej strony – każdy może dziś nagrywać utwory. W każdej sytuacji można znaleźć coś pozytywnego.

ALTER BRIDGE – ALTER BRIDGE
WYD. NAPALM RECORDS



Płyta pokazuje zespół pewny własnej tożsamości, unikający sztucznej rewolucji. Jedno z najlepszych wydawnictw w dorobku Alter Bridge: mocne riffy, wyraziste solówki gitarowe, emocjonalne wokale oraz solidna równowaga między intensywnością a melodyjnością. Dynamiczne przejścia między ciężkimi a nastrojowymi momentami, dzięki temu słuchanie płyty to emocjonalna podróż. Alter Bridge to pewny siebie, spójny album, który nie musi się diametralnie zmieniać, by zachwycać — to raczej udoskonalenie i dopracowanie charakterystycznego brzmienia zespołu. Fani alternatywnego metalu i rocka znajdą tu zarówno ciężkie riffy, jak i chwytliwe refreny oraz wysoką klasę wykonania.

NUMER RAZ, THREE50 & DJ EPROM – ŻYJE SIĘ TYLKO RAZ
WYD. WRAP RECORDS



Po wielu, wielu latach Numer Raz wrócił z nową płytą. Kluczowe pytanie, czy ktoś na nią czekał? Klasyczny rap z klasycznymi bitami, czyli klasyka wydobywa się z każdego zakamarka albumu. Muzyka idealna dla 40-latków, którzy chcą cofnąć się o co najmniej 20 lat. Bity wprowadzają smak i powiew ze Wschodniego Wybrzeża z USA. Teksty? Kiedyś było lepiej, a teraz jest, jak jest. Podróż sentymentalna dla fanów oldschoolowego rapu. Szacun za gościnne udziały – Natalia Kukulska, Bartek Królik. Raczej na RAZ niż na dwa.

JESSICA BAIO – SACRED
WYD. 10K PROJECT



Muzyka utrzymana jest w bezpiecznym, nowoczesnym, popowym brzmieniu, które może przypaść do gustu fanom mainstreamowych aranżacji. Jessica Baio prezentuje ładny, klarowny wokal i emocjonalne partie, które podkreślają intymny charakter utworu. Mniej niż pół godziny muzyki sprawia, że płyta jest łatwa do przesłuchania w całości, bez momentów słabszych czy przypadkowych. SACRED to przyjemny popowy projekt, który może nie zrewolucjonizuje gatunku, ale pokazuje naturalną wrażliwość i rozwój artystyczny Baio. To płyta, która bardziej przemawia do uczuć niż do słuchaczy szukających muzycznej innowacji – idealna dla fanów współczesnego, emocjonalnego popu.

eprasa.pl 3489c50c38

W kostiumie człowieka

Jeszcze niedawno wydawało się to niemożliwe, tego zakładu nie przyjąłby największy szaleniec. A jednak **wydarzył się cud**. Dwadzieścia pięć lat temu „Donnie Darko" był fenomenem ledwie wśród części zapalonych kinofilów, zjawiskiem na miarę supernowej. Połączenie atmosfery tajemniczości, grozy (z nutą fatalizmu) i egzystencjalnego niepokoju z fantastyką naukową oraz całkiem przyziemną opowieścią o dorastaniu rezonowało głównie z wielbicielami eklektycznego art house'u.

Sebastian Pytel

FILM

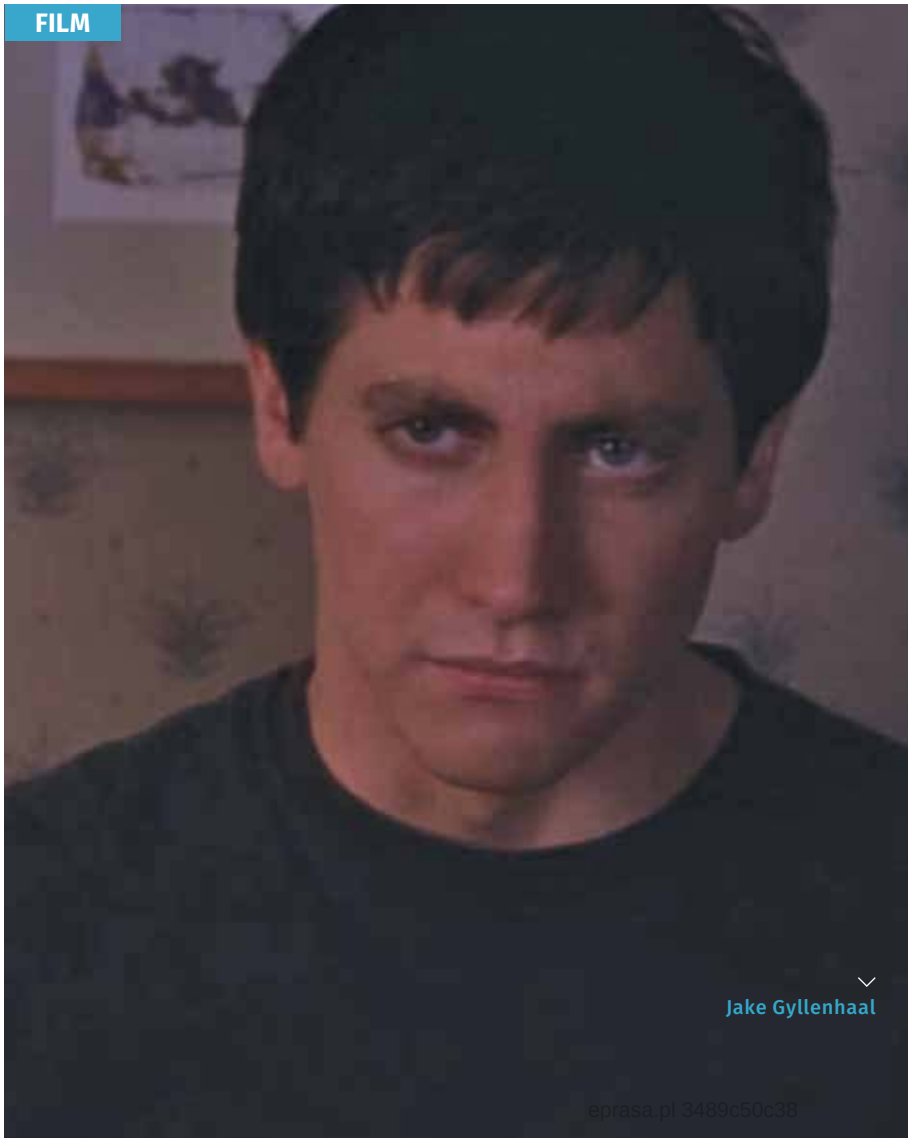

Jake Gyllenhaal

Fot. kadr z filmu

eprasa.pl 3489c50c38

Wiernych wyznawców było tak niewielu, że film Richarda Kelly'ego z amerykańskich kin wyszedł z długiem. Drugie życie (podobne jak kiedyś „Blade Runnerowi" Ridleya Scotta) dał mu rynek VHS/DVD, gdzie od premiery zaczął zataczać coraz szersze kręgi, aż do statusu kultowego. Do Polski dotarł już w glorii i chwale, rozsławiony przez fora dyskusyjne, szeptane polecajki magów od X muzy i pirackie kopie internetowe. Zwykle za najlepszą rekomendację wystarczało jedno zdanie: to film o nastolatku, który w snach widzi postać przebraną w makabryczny kostium królika.

Dziś, po upływie ćwierćwiecza, „Donnie Darko" nie stracił nic ze swojej świeżości, pozostając jednym z najlepszych obrazów adolescencji we współczesnej kulturze. Sam fakt wprowadzenia go na nasze ekrany przez firmę Reset (prócz wypełnienia wstydliwej luki w repertuarze) jest częścią szerszego zjawiska, formą ucieczki od miałkości nowych produkcji w stronę klasyki. Wszechobecna „marvelizacja" kina, nudne, powtarzalne i pozbawione głębszych treści scenariusze oraz cała litania różnej maści kryteriów poprawności politycznej sprawiły, że wielu widzów woli spoglądać wstecz i wybiera produkcje sprzed ery inkluzywności, gdzie nadrzędną wartością były walory artystyczne, a nie nadwrażliwość wybranych mniejszości. To świetna wiadomość dla historii sztuki i żółta kartka dla przyszłości medium.

Czym więc na tle dzisiejszych tworów kultury pokroju „Stranger Things" wyróżnia się perełka Richarda Kelly'ego? Przede wszystkim autentyczną wizją – przemyślaną, poprowadzoną pewną ręką, rozpiętą na przestrzeni kilku gatunków. Zaledwie 25-letni wówczas Kelly z powodzeniem zawiązał science

fiction, thriller, dramat oraz kino inicjacyjne. Jego oryginalny, buńczuczny głos nie został zagłuszony przez żadne fałszywe tony, umizgi czy chwytanie się wytartych konwencji. Z perspektywy lat obejrzany ponownie „Donnie Darko" zbliża się do wyprodukowanego w tym samym roku arcydzieła Davida Lyncha „Mulholland Drive". Choć oba filmy mówią o kompletnie innych zjawiskach i dzieli je różnica wieku i płci głównych postaci, to spotykają się gdzieś na przecięciu surrealizmu, zakrzywionej linearności, euforii z zajrzenia pod podszewkę świata i twardej, smutnej prawdy o życiu – współistnienia prawdziwej miłości i głębokiego rozczarowania.

W otwierającym ujęciu widzimy Donniego (Jake Gyllenhaal) budzącego się pośrodku pustej drogi. Chłopak często lunatykuje, sny prowadzą go w różne miejsca, z dala od domu. Pewnej nocy odwiedza go Frank, wspomniany człowiek-królik, zwiastując nadchodzący koniec istnienia. Dokładnie za 28 dni, 6 godzin, 42 minuty i 12 sekund. Równolegle, pod nieobecność Donniego, ścianę jego pokoju przebija spadający z nieba silnik samolotu. Przyczyna wypadku pozostaje nieznana, żadna z linii lotniczych nie odnotowała w swojej flocie tak poważnej usterki. Spektakularne oszukanie przeznaczenia zapewnia Donniemu nieco popularności w szkole, jednocześnie Frank zaczyna przychodzić do niego coraz częściej. Ścieżka do poznania natury posłańca będzie kręta, a u jej zbiegu czekać będzie filozofia podróży w czasie.

Nawarstwienie wątków może wydawać się przytłaczające, ale Kelly bezbłędnie panuje nad materią, którą obraca. Coś, co rzuca się w oczy już przy pierwszym seansie, to zachowanie scenariuszowej spójności, aptekarski montaż i odpowiednia przestrzeń dla każdej postaci drugoplanowej. Twórcy późniejszego „Southland Tales" udaje się magiczna sztuczka złapania kilku srok za ogon: jego film od początku do końca pozostaje zagadkowy, jednak na tyle klarowny, że zamiast frustracji wywołuje chęć powrotu, opowiedziany z perspektywy nastolatka, niemniej zaskakująco dojrzale, otwarty na różne interpretacje, ale wolny od chaosu. Znakomity jest w nim też sposób budowania opozycji. Świat dorosłych jest światem pełnym ograniczeń, konwenansów oraz wszechobecnej hipokryzji. Dla większości z nich wiek to rodzaj przewagi – wciśnięci w sztywne gorsety norm wzorców i zachowań swoją optykę próbują narzucać innym. Niektórzy, jak lokalny szarlatan Jim Cunningham (Patrick Swayze), posługują się pojęciem strachu, inni wykorzystują moralny szantaż, jeszcze inni konformizm. Z tych drobnych fragmentów fałszywych ideałów budują narzędzie mające na celu wywołanie poczucia winy. Donnie jest na te taktyki odporny, rozbraja je połączeniem pasji i logiki, a jednocześnie nie rozumie, jak wielu z tych, którzy mają odpowiadać za jego wychowanie, tkwi w mentalnych okopach. W kulminacyjnej scenie, przy dźwiękach covera „Mad World" Tears For Fears, reżyser podpowiada: oni tylko próbują odepchnąć od siebie własne nieszczęście.

Wbrew pozorom linia konfliktu głównego bohatera nie przebiega przez środek jego domu. Rodzice nastolatka są dość wyrozumiali, opiekuńczy i wspierający. A przede wszystkim żywo zainteresowani – zarówno jego zdrowiem fizycznym, jak i psychicznym. Siostry widzą w nim z kolei kogoś bliskiego i dalekiego jednocześnie, dziwną poczwarkę zawieszoną między wymiarami, czułego barbarzyńcę (młodsza) albo – kogoś, komu mogą rzucić wyzwanie, z kim mogą wejść w słowną szermierkę, pokruszyć kopie, a potem dzielić się pełnym zaufaniem i wzajemnym szacunkiem (starsza). W szkole również nie jest zero-jedynkowo. Prócz zmagań z dwójką klasowych dzbanów, nudą i cofającymi w rozwoju zadaniami Donnie znajduje wspólny język z nauczycielami angielskiego i fizyki (Drew Barrymore i Noah Wyle), z którymi tworzy małe „stowarzyszenie umarłych poetów". Poznaje też dziewczynę (Jena Malone), kiełkuje między nimi uczucie. Życie, które dopiero miało się zacząć, za chwilę musi się skończyć.

NAWARSTWIENIE WĄTKÓW MOŻE WYDAWAĆ SIĘ PRZYTŁACZAJĄCE, ALE KELLY BEZBŁĘDNIE PANUJE NAD MATERIĄ, KTÓRĄ OBRACA.

„Donnie Darko", reżyseria: Richard Kelly, scenariusz: Richard Kelly, obsada: Jake Gyllenhaal, Jena Malone, Holmes Osborne, Mary McDonnell, Drew Barrymore, Noah Wyle, Patrick Swayze, gatunek: dramat, thriller, science fiction, produkcja: USA 2001, polska premiera 9 stycznia 2026 r.

eprasa.pl 3489c50c38

SPEKTAKL



Fot. kadr z trailera

Duchowe misterium w operze

Premierą „Króla Rogera" Karola Szymanowskiego Opera Nova w Bydgoszczy potwierdziła przynależność do **czołówki scen operowych**. Reżyser Robert Bondara stworzył spektakl klarowny i o wielkiej sile wyrazu.

Jarosław Jakubowski

„Król Roger" nigdy by nie powstał, gdyby nie spotkanie dwu osobowości twórczych – kompozytora Karola Szymanowskiego i autora libretta (a w zasadzie jego dwóch trzecich), poety Jarosława Iwaszkiewicza. Nie powstałby też, gdyby nie ich fascynacja Sycylią – jej historią, kulturą, krajobrazem.

Kuzyni, czyli mistrz i uczeń

Wszystko zaczęło się w 1918 roku w Elizawetgradzie, gdzie Karol Szymanowski, pozbawiony rodzinnego dworu w Tymoszówce na Ukrainie, spędzał lato z kuzynem Jarosławem Iwaszkiewiczem. Kompozytor miał wtedy trzydzieści sześć lat, Iwaszkiewicz był o dwanaście lat młodszy. Poza różnicą wieku dzielił ich też status społeczny. Szymanowski był uznanym już twórcą muzycznym, obywatelem świata, dla młodszego kuzyna – mistrzem i mentorem. Urodzony w ukraińskim Kalniku Iwaszkiewicz tkwił w sytuacji „prowincjonalnego bytu" i to Szymanowski wskazał mu drogę twórczości literackiej, którą miał podążać, rozstrzygając tym samym dylematy młodego człowieka, niemogącego wybrać między komponowaniem a pisaniem. „Kiedy w tej pustyni spotkałem kogoś, kto się naprawdę zainteresował moją twórczością literacką, [...] potraktował od razu serio, kto nagle otoczył moją osobę nawet szacunkiem należnym prawdziwemu artyście – stało się to dla mnie momentem przełomowym. Tym kimś był oczywiście Karol Szymanowski" – pisał wiele lat później w „Książce moich wspomnień".

Sycylijska opowieść

Bez wątpienia też starszy kuzyn wpoił Iwaszkiewiczowi miłość do kultury śródziemnomorskiej, szczególnie Włoch, co znalazło wyraz w późniejszej twórczości autora „Sonetów sycylijskich". „Gdyby Włochy nie egzystowały – ja bym też nie mógł egzystować. Nie jestem malarzem ani rzeźbiarzem, ale gdy przechodzę przez sale muzeów, kościoły, ulice

eprasa.pl 3489c50c38

wreszcie, gdy patrzę na te wyniosłe, dumne, wiecznie pobłażliwym i pogodnym uśmiechem dla wszystkiego, co głupie, niskie i bezduszne, uśmiechnięte dzieła – gdy uzmysłowię sobie te całe pokolenia najpiękniejszych, najgenialniejszych ludzi, czuję, że warto żyć i pracować" – pisał Szymanowski w 1910 roku. Osiem lat później, latem 1918 roku, gotowy był napisany przez Iwaszkiewicza szkic libretta, w którym spotykają się: Sycylia roku 1150 i jej historyczny władca, grecki mit dionizyjski, mistyka Wschodu i kultura bizantyjska.

W 1921 roku Szymanowski całkowicie zmienił finałowy, trzeci akt opery – którą notabene nie zamierzał operą nazywać. Myślał raczej o „misterium", „widowisku", „dramacie muzycznym" bądź „dramacie sycylijskim". Niemały wpływ na ostateczny kształt dzieła miały ówczesne lektury Szymanowskiego, w tym „Narodziny tragedii z ducha muzyki" Fryderyka Nietzschego. Bardzo podówczas modny niemiecki filozof twierdził, że sztuka czerpie z napięcia między duchem apollińskim, odnoszącym się do harmonii, piękna i wierności regułom, oraz dionizyjskim, który rządzi się emocjonalnością, swobodą, dzikością i chaotycznością. I tak zwykle interpretuje się „Króla Rogera", sytuując tytułową postać na straży dotychczasowego porządku społecznego, jego antagonistę, Pasterza, postrzegając zaś jako burzyciela ładu, ale też demaskatora zakłamania. Nie byłby jednak „Król Roger" dziełem od swej prapremiery w 1926 roku tak inspirującym, gdyby poddawał się prostemu szufladkowaniu.

LATEM 1918 ROKU GOTOWY BYŁ NAPISANY PRZEZ IWASZKIEWICZA SZKIC LIBRETTA, W KTÓRYM SPOTYKAJĄ SIĘ: SYCYLIA ROKU 1150 I JEJ HISTORYCZNY WŁADCA, GRECKI MIT DIONIZYJSKI, MISTYKA WSCHODU I KULTURA BIZANTYJSKA.

Król szukający sensu

Robert Bondara w swojej bydgoskiej inscenizacji wydobywa z utworu duetu Szymanowski – Iwaszkiewicz dramat egzystencjalny tytułowego władcy. Rogera nurtują pytania, w którym momencie życia się znalazł, czy nie przegapił po drodze czegoś ważnego, dręczy go poczucie dysonansu pomiędzy własnymi poglądami i oczekiwaniami a tym, co i w jaki sposób czyni. W tę próżnię idealnie wpasowuje się alter ego króla – Pasterz. I znowu – można pójść w ubraną w egzotyczny kostium historię o „kryzysie wieku średniego", którego niejako personifikacją jest pojawienie się Pasterza, a nawet w dramat małżeński, bo Roksana wszak opuszcza Rogera, idąc z innymi za Pasterzem, lecz reżyser szczęśliwie unika tego rodzaju spłycających wymowę dramatu pokus.

Spektakl zaczyna się i kończy przygotowaną przez Jagodę Chalcińską wielkoformatową projekcją multimedialną, na której widzimy mężczyznę wędrującego pustą, rozległą plażą. Dopiero w finale rozpoznajemy w nim Rogera. Ten zabieg dobrze ilustruje sposób myślenia reżysera, który w „Królu Rogerze" dostrzegł przede wszystkim poezję, symbolizm i mistycyzm, niedoprawione zbędnymi dodatkami obyczajowymi czy psychologicznymi. Czysta forma, chciałoby się rzec za Witkacym.

Królestwo (nie) z tego świata

Scenografia autorstwa Diany Marszałek jest ascetyczna i wydobywa monumentalizm utworu. Składa się z kratownicowych konstrukcji, częściowo wypełnionych kamieniami. Ma to symbolizować mury pałacu lub świątyni, w zależności od sytuacji. Podobnie dwuznaczną rolę przypisano symbolicznemu ołtarzowi, który widzimy w akcie pierwszym. Później pełni on funkcję stołu w gabinecie Rogera. Pokazuje to, jak płynna jest granica między tym, co „cesarskie", a tym, co „boskie", zwłaszcza gdy cele władzy świeckiej i kościelnej sprowadzają się w zasadzie do tego samego – poddania społeczności sformalizowanym zasadom. Ważną funkcję pełnią również stroje zaprojektowane przez Martynę Kander. Ich kolorystyka i forma podkreślają wielowiekową rolę Kościoła i niezmienność relacji władza – poddaństwo. Kiedy zjawia się

ROGERA POZNAJEMY JAKO CZŁOWIEKA WŁADCZEGO I PEWNEGO SWEJ POZYCJI, KTÓRY ODRZUCA PÓŹNIEJ CAŁE DOTYCHCZASOWE ŻYCIE, ŻEBY ZOSTAĆ PIELGRZYMEM I NARODZIĆ SIĘ NA NOWO W KOŃCOWYM HYMNIE NA CZEŚĆ SŁOŃCA.

eprasa.pl 3489c50c38

Pasterz, następuje symboliczne zrzucenie dotychczasowych szat przez lud, który odziany jest teraz w proste, cieliste okrycia.

W spektaklu widać również doświadczenie choreograficzne reżysera. Widowisko jest bowiem bardzo pewnie poprowadzone ruchowo, a sceny zbiorowe dowodzą dużej sprawności inscenizatora. Szczególnie widać to w drugim akcie, w którym mamy do czynienia z dionizyjskim upojeniem tłumu wyrażającym się w jego niezwykłym, somnambuliczno-ekspresyjnym tańcu.

Pasterz, król, pielgrzym

Poprzez ogołocenie sceny z wszelkich zbędnych elementów uwaga widza skupia się na postaciach. I to ich dramat, ich dylematy i poszukiwania są w bydgoskiej premierze najważniejsze. Tym większa odpowiedzialność ciąży na wykonawcach głównych partii. Z tego sprawdzianu właściwie wszyscy wychodzą zwycięsko. Łukasz Goliński, obsadzony w roli Rogera, wcielał się już w tę postać na scenach krajowych i zagranicznych. Doświadczenie to pozwoliło mu na sprawne ukazanie przemiany swego bohatera. Wyrazisty bas-baryton wykonawcy umiejętnie współgra z dramaturgią: Rogera poznajemy jako człowieka władczego i pewnego swej pozycji, który odrzuca później całe dotychczasowe życie, żeby zostać pielgrzymem i narodzić się na nowo w końcowym hymnie na cześć słońca.

Partia Pasterza „Mój Bóg jest piękny jako ja", odczytywana czasem jako w pewnym sensie bluźnierczy akt wyrzeczenia się Boga, niekiedy również z erotycznym podtekstem, w spektaklu Roberta Bondary nabiera wymiaru mniej religijnego, a bardziej uniwersalnego, odnoszącego się raczej do Natury jako siły stanowiącej prawa na ziemi. Pasterz, kreowany przez tenora Pavla Tolstoya, jest w tej inscenizacji człowiekiem silnym, obdarzonym charyzmą koryfeuszem nowej idei. Białe, powłóczyste szaty podkreślają jego inność, ale wydaje się, że w istocie niewiele go różni od króla, któremu rzuca wyzwanie. Niewykluczone, że w przyszłości zostanie następnym władcą, co po raz kolejny uzmysławia, jak niewiele trzeba, by idea przerodziła się w reżim.

Jasno świecącymi punktami premierowej obsady byli również Julia Pruszak-Kowalewska (sopran) jako Roksana i Michał Ryguła (tenor) jako Edrisi. W „Pieśni Roksany", partii należącej do najpiękniejszych w „Królu Rogerze", artystka idealnie odczytała duszę muzyki Szymanowskiego. Jest bardzo przekonująca jako małżonka króla, która zrywa ze swym dotychczasowym statusem społecznym, by całkowicie odmienić swoje życie. Z kolei Ryguła wyraziście ukazał rolę „arabskiego mędrca" u boku Rogera.

> NA WYSOKOŚCI TRUDNEGO ZADANIA POSTAWIONEGO I PRZEZ UTWÓR SZYMANOWSKIEGO, I PRZEZ WYMAGAJĄCĄ INSCENIZACJĘ BONDARY STANĄŁ CAŁY ZESPÓŁ OPERY NOVA: CHÓR, BALET, A TAKŻE ORKIESTRA.

Utwór na nowo czytany

Dobrze poradzili sobie ze swoimi partiami również Janusz Żak (Archiereios) i Darina Gapicz (Diakonissa). Pozostaje mieć nadzieję, że artyści-zmiennicy, obsadzeni w głównych rolach, równie mocno zabłysną. Wkrótce będziemy mogli się o tym przekonać, bo już 27, 28 i 29 marca br. bydgoska opera zaprasza na kolejne spektakle.

Na wysokości trudnego zadania postawionego i przez utwór Szymanowskiego, i przez wymagającą inscenizację Bondary stanął cały zespół Opery Nova: chór, balet, a także orkiestra pod batutą Saszy Jankiewicza, absolwenta bydgoskiej Akademii Muzycznej. Ten młody dyrygent, który współpracuje dziś z wieloma scenami europejskimi, w swoim bydgoskim debiucie dowiódł głębokiego zrozumienia muzyki Szymanowskiego.

Warto dodać, że w 2022 roku inscenizacje „Króla Rogera" przygotowały Opera na Zamku w Szczecinie (w reżyserii Rafała Matusza) i Opera Bałtycka w Gdańsku (tu reżyserował Romuald Wicza-Pokojski). Obie różne i obie całkowicie odmienne od widowiska Opery Nova w Bydgoszczy. A w kwietniu tego roku zobaczymy premierowego „Króla Rogera" w Teatrze Wielkim w Poznaniu. To pokazuje, jakim wciąż wdzięcznym tematem pozostaje dzieło stworzone ponad sto lat temu przez parę utalentowanych kuzynów.

Opera Nova w Bydgoszczy, „Król Roger", reżyseria i choreografia: Robert Bondara, kierownictwo muzyczne: Sasza Jankiewicz, scenografia: Diana Marszałek, reżyseria świateł: Maciej Igielski, projekcje multimedialne: Jagoda Chalcińska, przygotowanie chóru: Kaja Potrzebska.

eprasa.pl 3489c50c38

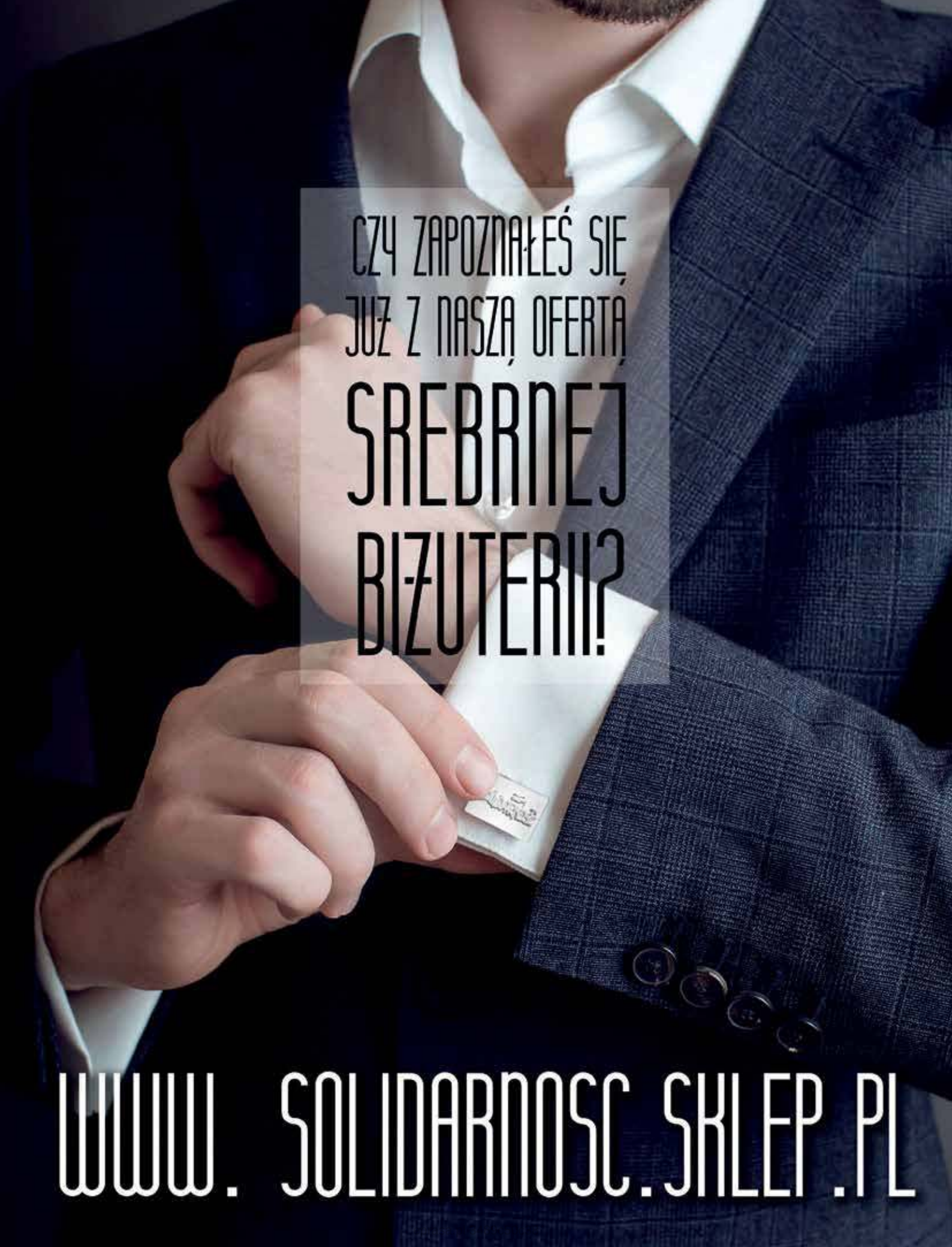
CZY ZAPOZNAŁEŚ SIĘ
JUŻ Z NASZĄ OFERTĄ
SREBRNEJ
BIŻUTERII?
WWW. SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

Dlaczego biografie?

Interesujemy się biografiami sławnych ludzi, pasjonują nas perypetie, miłości i sposób życia rzeczywistych bohaterów. Bawi nas wiadomość, że Józef Ignacy Kraszewski używał gęsiego pióra, że Honoré Balzac do pisania wkładał na siebie habit mnicha, a Anatole France pisywał na rozmaitych kartkach, w tym odwrotach rachunków bankowych, i czasem okazywało się, że potrzebny rachunek jest częścią powstającej właśnie powieści. Tadeusz Konwicki pisał na odwrocie maszynopisów innych autorów. Niektórzy czerpali **podniety z narkotyków**. Opium zażywali Théophile Gautier, Charles Beaudelaire czy Juliusz Słowacki.

Piotr Łopuszański



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 3489c50

Z dzienników Stendhala dowiadujemy się, że pisarz nienawidził swego ojca, nazywał go sknerą i obwiniał o to, że dopuścił on do tego, by syn żył w nędzy. Z kolei zapiski Zofii Nałkowskiej dowodzą, że pisarka lubiła „ocierać się o ministrów" (zarówno za sanacji, jak i za komuny).

Pasjonujemy się romansami lorda George'a Byrona i George Sand, zdumiewamy się sprawdzoną już wiadomością, że Bolesław Prus miał nieślubne dziecko z Aliną Sacewiczową. Pytamy, co się stało, że druga żona Henryka Sienkiewicza uciekła od niego po kilku tygodniach małżeństwa. Uśmiechamy się na słowa Prusa, który zarzucał Sienkiewiczowi efekciarstwo i pisał o „Ogniem i mieczem": „Nie ma tam duszy". Podobnie mówił Adam Mickiewicz o poezji Juliusza Słowackiego.

George Byron i Adam Mickiewicz stali się legendami za życia. O uznanie bezskutecznie zabiegał Juliusz Słowacki. Niezbyt przyzwoity w życiu prywatnym Stefan Żeromski był uważany przez sporą część społeczeństwa za autorytet moralny. Andrzej Szczypiorski został wykreowany na autorytet, a okazał się współpracownikiem SB. W III RP ujawniono, kto z wybitnych pisarzy współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa i donosił na kolegów. Pojawiły się w tym kontekście nazwiska Andrzeja Kuśniewicza, Kazimierza Koźniewskiego, Aleksandra Minkowskiego i innych. Co zastanawiające, ostracyzm spadł nie na donosicieli, a na dziennikarzy i naukowców, którzy o tym napisali. To odwrócenie pojęć moralnych.

Czytelnicy chcą prawdy o życiu wielkich ludzi. Nie laurki, nie paszkwili, ale faktów. Często biografie zmieniają nasz szkolny pogląd o twórcach. Bolesław Prus z nudziarza zmienił się w kochanka, Zofia Stryjeńska z kobiety sukcesu stała się kobietą tragiczną, a Witkacy, wariat z Krupówek, genialnym artystą i wizjonerem. Mikołaja Kopernika możemy uważać nie tylko za wszechstronnego geniusza myśli, ale i polskiego patriotę. Był też u schyłku życia księdzem katolickim.

UŚMIECHAMY SIĘ NA SŁOWA PRUSA, KTÓRY ZARZUCAŁ SIENKIEWICZOWI EFEKCIARSTWO I PISAŁ O „OGNIEM I MIECZEM": „NIE MA TAM DUSZY".

Ciekawi nas, jak tworzyli poeci, pisarze. Wiemy, że Bolesław Leśmian nucił melodię, pod rytm której podkładał słowa. Melchior Wańkowicz miał specjalną kartotekę z cytatami na niemal każdy temat. Wspominał o niej w książkach „Prosto od krowy" i w „Karafce La Fontaine'a". Co zastanawiające, nawet w III RP „Karafka" jest wznawiana z ingerencjami cenzury, np. rozdział o cenzurze został w PRL ocenzurowany. Naliczyłem 21 ingerencji cenzorskich. Dziwić może fakt, że nie przywrócono nigdy wersji autorskiej, mimo że Wańkowicz pisał tę książkę w pięciu egzemplarzach.

Umberto Eco wykorzystał swoje dawne fiszki z cytatami do pracy o estetyce średniowiecza, gdy zabrał się za pisanie powieści „Imię róży". Julian Przyboś w notesie zapisywał ciekawe sformułowania, które usłyszał w rozmowie. Poetka Kazimiera Iłłakowiczówna wyznała kiedyś publicznie: „Nie lubię czytać, nie lubię książek", co wywołało oburzenie wśród czytelników. André Gide zadał sobie pytanie, kto jest największym pisarzem francuskim. I sam odpowiedział: „Victor Hugo, niestety". W tym słowie „niestety" kryła się ocena. Hugo był wielkim poetą i powieściopisarzem, ale człowiekiem małym pod względem moralnym. Sam Gide zresztą także. Ciemną stronę sławnych ludzi skrywano. Powstawały biografie pisane „na klęczkach". Syn Adama Mickiewicza, Władysław, fizycznie niszczył listy, pamiętniki, w których znalazły się nieprzychylne uwagi o jego ojcu. Toteż biografowie mają problem z opisaniem prawdziwego życia poety.

O wielkim zbrodniarzu Stalinie pisano jako o obrońcy pokoju. Krytyczne uwagi dusił terror i skreślała czujna cenzura. Z kolejnych wydań encyklopedii radzieckiej znikali najbliżsi współpracownicy Stalina zamordowani na jego rozkaz. I z tego samego zdjęcia wyretuszowywano kolejne postaci.

Francuzi nie widzą niczego złego w opisywaniu ciemnych stron swoich wielkich ludzi. Piszą znakomite biografie, z których czytelnicy dowiadują się o poczynaniach Charles'a Baudelaire'a i o wizytach Marcela Prousta w męskich domach publicznych.

NIEZBYT PRZYZWOITY W ŻYCIU PRYWATNYM STEFAN ŻEROMSKI BYŁ UWAŻANY PRZEZ SPORĄ CZĘŚĆ SPOŁECZEŃSTWA ZA AUTORYTET MORALNY.

Jednakże francuscy autorzy wiedzą dużo, ale tylko o Francuzach. Wielcy ludzie wywodzący się z innych krajów stanowią dla autorów z Francji mgłę, a geografia ich ojczyzn – ziemię nieznaną. O Polsce i Polakach prawie nic nie wiedzą. O Marii Skłodowskiej-Curie pisano we Francji jako o... Rosjance, Żydówce (sic!), a gdy zyskała światowy rozgłos – jako o wybitnej „przedstawicielce rasy francuskiej".

SYN ADAMA MICKIEWICZA, WŁADYSŁAW, FIZYCZNIE NISZCZYŁ LISTY, PAMIĘTNIKI, W KTÓRYCH ZNALAZŁY SIĘ NIEPRZYCHYLNE UWAGI O JEGO OJCU.

W PRL nie pisano o skłonnościach Jerzego Zawieyskiego. Był członkiem Rady Państwa i posłem na Sejm, więc przemilczano fakt jego udziału w orgiach homoseksualnych, w których dochodziło do gwałtów na młodych ludziach. Niedawno ujawnił to Cezary Gmyz. W okresie PRL nie pisano o homoseksualizmie Jerzego Waldorffa czy Bogusława Kaczyńskiego. Za to w ostatnich latach przypisuje się takie upodobania Juliuszowi Słowackiemu – bezpodstawnie. Wszak poeta kochał się bez wzajemności w Ludwice Śniadeckiej, córce profesora Uniwersytetu w Wilnie, w Marii Wodzińskiej, dla której napisał poemat „W Szwajcarii", i w Joannie Bobrowej. W nim zaś była zakochana Eglantine Pattey. Nigdy nie spotkał kobiety, z którą mógłby założyć rodzinę.

O miłości Francesco Petrarki do ukochanej Laury wiemy wszystko. Natomiast nic o matce dwojga dzieci poety. Petrarca zniszczył swoje prywatne listy, zachowując tylko to, co chciał przekazać potomności. Podobnie uczynił Leopold Staff.

W okresie PRL zatajano pochodzenie żydowskie prominentnych działaczy i pisarzy oraz zmianę przez nich nazwisk: Goldberg zmienił nazwisko na Borejsza, inny na Różańskiego. Taka zmiana nazwisk miała tradycję już przedwojenną, gdy Agatstein stał się Jastrunem, a Wagman Ważykiem. Mało kto wiedział, że Lucyna Krzemieniecka to naprawdę Wiera Zeidenberg, a Irena Krzywicka jest z domu Goldberg. O tym nie pisano.

W III RP nastąpiło zjawisko odwrotne. W książce o pisarzach pochodzenia żydowskiego Robert Stiller (tajny współpracownik SB) przypisał korzenie żydowskie największym polskim poetom: Mickiewiczowi, Słowackiemu, Lechoniowi – chociaż nie było ku temu podstaw. Na kilku poetów żydowskiego pochodzenia (Lange, Leśmian, który stał się katolikiem, Tuwim, Słonimski, Jastrun) jest cała plejada wybitnych poetów o nieżydowskich korzeniach: Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, Wolska, Ostrowska, Wierzyński, Lechoń, Iwaszkiewicz, Pawlikowska-Jasnorzewska, Przyboś, Herbert, Miłosz i wielu innych. Według Stillera pochodzenie żydowskie ma świadczyć o wyższości poetów, dlatego musiał dopisać naszych największych.

W okresie PRL cenzura zakazywała pisania w dobrym kontekście o Marszałku Józefie Piłsudskim, usuwała ze zbiorów poezji i biografii wiersze jemu poświęcone. Na czarną listę trafili także były prezes PEN-Clubu i członek Polskiej Akademii Literatury Ferdynand Goetel, popularny pisarz Antoni Ferdynand Ossendowski. O problemie z alkoholem Juliana Tuwima nie wolno było pisać, bo wszak Tuwim poparł komunizm i był blisko z Bierutem.

Przez lata w Polsce wydawano publikacje o twórczości pisarzy, a nie ich biografie. Poloniści często nie znali życiorysów twórców, o których pisali. Skandalem jest, że blisko 60 lat po śmierci Leopolda Staffa nie ma jego biografii. Podobnie było do końca XX wieku z Bolesławem Leśmianem, o którym pisano wierutne brednie. Zirytowany tym stanem rzeczy napisałem 25 lat temu pierwszą biografię Leśmiana. W sumie napisałem ich pięć. Czy ktoś zechce zbadać życie Staffa i napisać o nim ciekawą książkę?

Zdarza się, że autorzy biografii nie chcą się przemęczać poszukiwaniami w archiwach i piszą o rzeczach znanych. Biograf Jana Brzechwy nie przeprowadził badań genealogicznych i pominął dzieje jego rodziny. Autorom niektórych biografii nie chce się wertować archiwów i znajdować ciekawych informacji. Zadowalają się tym, co już wiadomo. Biografowie Tadeusza Konwickiego opierają się na tym, co pisarz sam o sobie opowiadał (a miał skłonność do konfabulacji). Nikt nie zbadał jego genealogii ani epizodu wojennego. Jak było naprawdę z Konwickim w Wilnie litewskim, radzieckim, niemieckim? Jak się zachowywał w partyzantce? Czy zdradził kolegów? Pisał o tym w wielu utworach, ale to literatura. Jaka była prawda?

SKANDALEM JEST, ŻE BLISKO 60 LAT PO ŚMIERCI LEOPOLDA STAFFA NIE MA JEGO BIOGRAFII.

eprasa.pl 3489c50c38

Przez lata wierzono w szczerość „Wyznań" filozofa Jeana--Jacques'a Rousseau. Gdy zbadano dokumenty dotyczące jego życia, okazało się, że to, co pisał, to konfabulacje. Istnieją książki o życiu Carla Gustava Junga, znanego psychiatry, ucznia Zygmunta Freuda, które są oparte wyłącznie na wspomnieniach napisanych przez samego Junga. Biografowie nie skonfrontowali owych wspomnień z dokumentami i listami. Dlatego ani słowem nie wspomnieli o romansach autora „Typów psychologicznych" z pacjentkami, np. Sabiną Spielrein. O tym romansie wiemy z korespondencji Junga z Freudem.

NIE OPISANO DOKŁADNIE PISARZY-WSPÓŁPRACOWNIKÓW SB I NIE ZACYTOWANO DOSŁOWNIE ICH DONOSÓW.

Czasem biograf woli konfabulować, niż rzetelnie sprawdzić dokumenty. Pisano na przykład, że mężem ukochanej Mickiewicza, Maryli, był hrabia Wawrzyniec Puttkamer, a o niej samej jako o hrabinie. Puttkamer wywodził się z innej linii rodu i nie przysługiwał mu tytuł hrabiowski. Robiono z niego starca, gdy w rzeczywistości był starszy od żony o 5 lat. Ona miała 20, on 25 lat. Jaki więc był z niego starzec? Z powodu owego wymyślonego sędziwego wieku twierdzono, że Puttkamer nie był ojcem swoich dzieci i snuto domysły, że były to dzieci... Mickiewicza.

Pisano o tym, że z powodu zamroczenia alkoholowego Władysław Reymont nie odebrał Nagrody Nobla w 1924 roku. W rzeczywistości Reymont był ciężko chory na serce i rok później umarł.

Wańkowicz twierdził, że w 1864 roku „wystąpili" (a więc zadebiutowali) Stefan Żeromski i Wacław Berent. Żeromski wtedy się urodził, a Berenta nie było jeszcze na świecie (urodził się w 1873 roku). Kartoteka nie pomogła.

Tak więc należy czytać biografie ostrożnie, sprawdzać, czy autor opiera się na dokumentach, czy też powtarza niesprawdzone mity. Ileż dogmatów powiela się do dziś na temat życia Kopernika, gdzie został ochrzczony, że rodzina wywodziła się ze Śląska, że uczony nie został księdzem. Niemcy do dziś piszą, że Kopernik miał niemieckich rodziców. Autorzy anglosascy głoszą nieprawdziwe „rewelacje", jakoby polski uczony był prześladowany przez Kościół katolicki i wiążą go z prześladowaniami Giordana Bruna.

Praca biografów jest żmudna. Trzeba szukać dokumentów w archiwach, czytać książki, listy i artykuły, rozmawiać z krewnymi, jeżeli żyją, itd. Dziś plenią się plagiatorzy, którzy piszą o sławnych postaciach, czerpiąc pełnymi garściami z dzieł innych autorów, o których nawet nie wspominają. Ileż razy widuję artykuły o Leśmianie, w których większość wiadomości pochodzi z moich książek, ale mojego nazwiska próżno szukać w tekście owych „autorów".

Nie mamy dobrych biografii Józefa Ignacego Kraszewskiego, Stefana Żeromskiego, Tadeusza Konwickiego, Władysława Tatarkiewicza. Nie opisano dokładnie pisarzy-współpracowników SB i nie zacytowano dosłownie ich donosów. Jest zadziwiające, że przez wiele lat od śmierci wybitnych Polaków nie powstały ich biografie, np. Tadeusza Micińskiego, Leopolda Staffa i wielu innych wybitnych twórców.

Jeśli Polska ma być państwem ludzi kulturalnych, znających swoje wielkie postacie, trzeba wydawać dobre biografie najważniejszych pisarzy, uczonych i artystów, także tych o mrocznych stronach i o ciemnych kartkach w życiorysach. Nie musimy dzisiaj krzepić serc. Powinniśmy natomiast znać prawdę.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

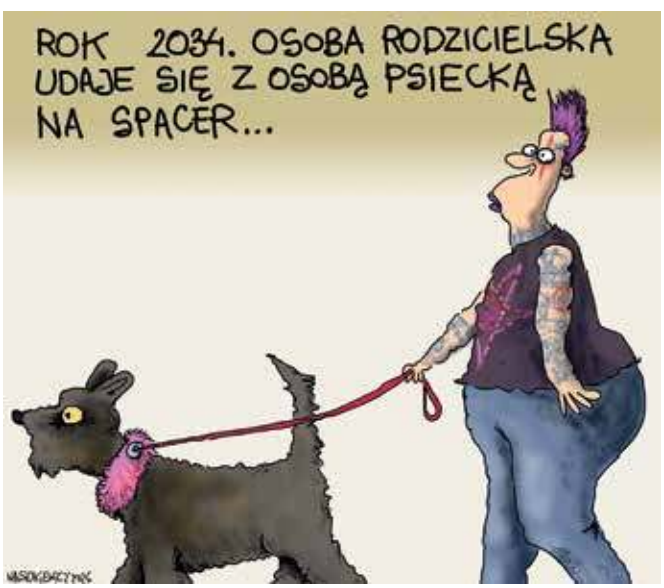

eprasa.pl 3489c50c38

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Brat Ogień

W tym malarstwie odwaga nie jest buntem, nie jest zerwaniem z wiernością: pozwala opowiedzieć wieczne prawdy w nowy sposób.



Mocny kontrast nie był bez znaczenia: po kwadransie wędrówki w styczniowej zadymce wyciszona, ciepła sala, w której w dodatku (mam nadzieję, że za sprawą ukrytej gdzieś garści owoców, a nie odświeżacza powietrza!) pachnie goździkami, a na ścianach płoną purpurowe i karminowe płomienie, wydała się trochę przedsionkiem innego świata. I nic dziwnego, niezależnie od kaprysów pogody: czymś takim, wejściem w „inną przestrzeń" miała być, już w myśli Ojców Kościoła, ikona.

Nie miejsce tu, by rozpoczynać opowieść o wszystkich tradycjach i szkołach, w których powstawały pierwsze wizerunki świętych i scen biblijnych, o kilkunastu wiekach modlitwy i skupienia nad cedrowymi (a bardziej na północy – modrzewiowymi lub lipowymi) deskami, o związkach między „klasycznymi" ikonami bizantyjskimi a wyrastającym z nich włoskim malarstwem trecenta. Świeccy i święci ikonografowie „piszą", jak świat szeroki, ikony zgodnie z wzorami schematów i kolorów zwartymi w tzw. podlinnikach. Hieratyzm i powaga ikon, podejmowana gra z perspektywą sprawiająca, że patrzący może znaleźć się niejako w centrum przedstawionych wydarzeń, a przede wszystkim zamysł, by obraz taki stawał się „oknem", a nie odwzorowaniem przyciągał, poruszał i inspirował wielu twórców: najbardziej znanym w Polsce pozostaje oczywiście Jerzy Nowosielski.

Równie żywe, co zapożyczanie rozwiązań plastycznych związanych z pisaniem ikon w malarstwie czysto świeckim (rodzajowym czy portretowym) są jednak próby tworzenia współczesnej sztuki sakralnej nawiązującej do klasycznego warsztatu twórców ikon, do ich technik czy wyobraźni. Również w Polsce istnieje kilka szkół współczesnego ikonopisania, świetną okazję do zapoznania się z ich dorobkiem stwarza Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, od 2017 R. rokrocznie organizujące wystawy ikon współczesnych. I to stamtąd znam prace brata Marcina Świądra. Jego najnowsze tempery prezentowane na kameralnej wystawie w Siedlcach pokazują, z jak świetnym skutkiem udaje mu się „wpisać" własną wyobraźnię i pobożność w kanon, czy może raczej w formuły, dzięki którym nawet laik natychmiast zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z ikoną, a nie po prostu „obrazem religijnym".

Niektóre z kilkunastu obrazów („Mandylion", „Hodegetria") są na pierwszy rzut oka bliskie „klasycznym" ujęciom, chociaż szczegółowe rozwiązania – twarz i szata Maryi, tło obrazu, geometryzujące motywy na mandylionie – wychodzą poza kanon, rozszczelniają go, ukazują, co dać może odwołanie się do palety i motywów XX-wiecznego malarstwa. Co ważne – w niczym nie ujmują zarazem powadze i godności przedstawionych na nich Osób: to nie pusta lub, co gorsza, ironiczna gra, nie natrętne „uwspółcześnianie" podjęte przez kogoś, kogo świerzbią pędzel i pycha: to raczej wieczne odnawianie się świata.

Prawdziwie nowatorskie jest jednak dopiero wykorzystanie wrażliwości i motywów ikony do przedstawienia treści z samego, można rzec, serca chrześcijaństwa Zachodu: Marcin Świąder

eprasa.pl 3489c50c38





podjął pracę nad tym cyklem w ramach franciszkańskiego skupienia nad, bagatela, ośmiusetleciem „Pieśni Słonecznej”, zwanej też „Pochwałą Stworzenia” – wielkiego kantyku autorstwa św. Franciszka z Asyżu, który skończył pisać najpewniej w roku 1226, na kilka miesięcy przed śmiercią. Niektóre obrazy wprost nawiązują do Pieśni, do żywota św. Franciszka i najbardziej znanych wydarzeń z jego życia: do stygmatyzacji, do usłyszanego przezeń wezwania „odbuduj mój Kościół”, do ściśle związanego z duchowością franciszkańską krzyża z San Damiano. Inne są owocem wyobraźni malarza, wśród nich szczególnie te odwołujące się do „Pieśni nad Pieśniami”.

To prace bardzo dojrzałe, przemawiające kompozycyjnym rygorem, powściągliwością, paletą „kanonicznych”, a zarazem żywych barw, ale może przede wszystkim – spójnością opowieści i obrazowania, radosnym czerpaniem z całej tradycji ikonopisania i ożywianiem jej twórczym gestem, radosną fantazją. Zachwyca mnie zamysł, by sceny z „Pieśni nad Pieśniami” namalować na dwóch długich, półtorametrowych deskach – nie przyciętych, jak przywykliśmy, patrząc na obrazy, w ciasny prostokątny kształt, lecz rozciągniętych na kształt wielkiej elipsy, tak jak wygląda drewno po pierwszym przetarciu piłą tarczową. Otrzymaliśmy coś na kształt „tkaniny z Bayeux” – linearną, rozwijającą się na żywicznej płaszczyźnie opowieść, gdzie wiruje wielka kula Słońca, a odpowiada jej – mniejsze, lecz równie oranżowe jabłko z Drzewa Poznania, ale może granat z krzewu, pod którym spoczęli oblubienica z oblubieńcem?

Tak, ta „gra” brata Świądra z tradycją ikoniczną, ale i z innymi tradycjami malarstwa religijnego, gra, w której odwaga nie jest buntem, nie jest zerwaniem z wiernością, lecz pozwala sięgnąć po nowe formy, robi na mnie chyba największe wrażenie. Cedry i cyprysy, siwozielone, odmalowane linią na pozór schematyczną, ale świetnie oddającą odmienność tych dwóch drzew, stoją obwiedzione oranżem jak ogniem; smukłe owce, skupione wokół pasterza, wyglądają z daleka (czy tylko ja miałem to wrażenie?) niczym litery, w których spisano Pieśń – alef, bet, lamed – pisane białym ogniem. Stygmaty na dłoniach, stopach i boku świętego Franciszka, stojącego w ogniu, nie przypominają tych, jakie widzieliśmy u klasyków: jasnoczerwone, doskonale symetryczne kółka, niemal kropki, przenoszą nas poza anatomię ku refleksji nad światłem, są (aż strach to napisać) niczym promień laserowego wskaźnika, skoncentrowany i nieomylny (na innym obrazie stygmaty te jarzą się nieziemskim, lodowatym błękitem). I krzyż, w ukośne pasy w kanonicznych kolorach – szkarłat i purpura, czerń i biel, dwa wąskie kliny zieleni – nadkruszony, „zgryziony” (czasem? cierpieniem?) ukazujący, że wyraźniej nie można, materialność drewna, włóknistego, chrupkiego – a jednocześnie nie ograniczający widza dosłownością. Szafiry i karmin – na pochwałę Siostry Wody i Brata Ognia.

Brat Marcin Świąder OFMCap, „Słoneczna Pieśń nad Pieśniami”. A_Galeria, Uniwersytet w Siedlcach, ul. Żytnia 39, 9 stycznia – 1 lutego 2026 r., kurator Marcin Sutryk.

eprasa.pl 3489c50c38

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **20 STYCZNIA** zdarzyło się:

1797 – gen. Jan Henryk Dąbrowski wydał w Mediolanie odezwę zachęcającą do wstępowania do Legionów Polskich we Włoszech;

1942 – II wojna światowa: rozpoczęła się konferencja w Wannsee, na której omówiono ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej, jak eufemistycznie określano rozpoczęte już ludobójstwo Żydów.

Wiesenthal – CZYLI ŁOWCA NAZISTÓW



Fot. Wikimedia Commons

Kończył się czerwiec 1967 r. W piątkowe popołudnie na lotnisku w Düsseldorfie wylądował Boeing 707 z Brazylii. Wśród pasażerów lecących w klasie turystycznej podróżował również człowiek, który od kilku lat przedstawiał się jako – Paul. Ten dobiegający sześćdziesiątki mężczyzna, gdy tylko wysiadł z samolotu, stwierdził z rozbrajającą szczerością: „Cieszę się, że znów słyszę **niemieckie dźwięki** i znów widzę wspaniały niemiecki krajobraz”.

Sebastian Reńca

Dwie dekady wcześniej, gdy zakończyła się II wojna światowa, ten sam człowiek miał jedno marzenie – nie pragnął niczego więcej, jak zacząć wszystko od nowa otoczony rodziną, którą kochał. Franz Stangl, bo tak się nazywał tenże podróżny, musiał jednak uciekać z Europy. Początkowo wydawało się to nierealne, jednak chociaż amerykański wywiad wiedział o jego stanowisku w obozach zagłady w Sobiborze i Treblince, w roku 1947 przekazał go Austriakom, a ci umieścili go w więzieniu, z którego... po prostu wyszedł. Skorzystał z tzw. watykańskiego szlaku i przez Rzym trafił do Syrii, skąd pod własnym nazwiskiem przybył z rodziną do Brazylii. Był 1951 r. Jak pisze autorka jego biografii – Gitta Sereny, Stanglowie „na miejscu mieszkali i pracowali pod własnym nazwiskiem”. Stangl zarabiał na życie w fabryce Volkswagena.

eprasa.pl 3489c50c38

W marcu 1942 r. człowiek ten został komendantem obozu zagłady w Sobiborze, a sześć miesięcy później w Treblince. Pod koniec tego samego roku ambasada polska przekazała do papieskiego sekretariatu stanu list, w którym pisano m.in. „Niemcy likwidują w Polsce całą ludność żydowską. Najpierw zabierani są ludzie starzy, kaleki, kobiety i dzieci, co dowodzi, że nie chodzi tu o deportacje do obozów pracy przymusowej. Fakt ten potwierdza raczej informacje, że ludzie ci są deportowani do miejsc ze specjalnymi urządzeniami, gdzie uśmierca się ich, stosując różne metody...".

Człowiekiem, który przyczynił się do zatrzymania Franza Paula Stangla, był Szymon Wiesenthal, który swoją działalnością zyskał przydomek „łowcy nazistów". Gdy 28 lutego 1967 r. brazylijska policja złapała byłego Hauptsturmführera SS, ten miał odetchnąć z ulgą i powiedzieć do funkcjonariuszy: „Myślałem, że panowie są z Izraela".

Przed sądem Stangl bronił się, mówiąc, że „wykonywał jedynie swój obowiązek". Pod koniec 1970 r. został skazany na dożywotnie więzienie. Zmarł pół roku później. Był jednym z setek zbrodniarzy, którzy dzięki Wiesenthalowi stanęli przed wymiarem sprawiedliwości.

Stalin i Hitler byli siebie warci

Szymon Wiesenthal nie był z Izraela, urodził się w Buczaczu na dzisiejszej Ukrainie, mieście, które przed wojną leżało w granicach Polski. Gdy III Rzesza z ZSRS zaatakowali Rzeczpospolitą, Wiesenthal był mieszkańcem polskiego Lwowa. W mieście opanowanym przez Sowietów szybko rozlały się strach i terror. Wiesenthal, jako ten, który poznał dwa największe i zbrodnicze socjalistyczne totalitaryzmy (narodowy i komunistyczny), mówił po latach, na przekór lewicowym ideologom i propagandystom: „Stalin i Hitler byli siebie warci i nie wiadomo, który z nich był większym zbrodniarzem".

Gdy Niemcy weszli do Lwowa, a na ulicach miasta rozgrywały się dantejskie sceny, Szymon i jego żona Cyla nie wychodzili z mieszkania, a to, co się działo na zewnątrz, widzieli z okien. Zobaczyli m.in., jak Niemcy i Ukraińcy wypędzają ludzi z mieszkań, biją ich i poniżają. Widzieli też niemieckiego operatora z kamerą, który skrupulatnie to wszystko nagrywał na taśmę filmową. Pierwszy Niemiec, którego Wiesenthalowie spotkali podczas tamtej wojny, wpadł do ich mieszkania z prostytutką, której kazał wybrać dla siebie wszystko, co jej się spodoba spośród ubrań Cyli. Ona zabrała, co chciała, i wyszli. Dwa dni później dwóch Niemców i jeden Ukraiiniec wyciągnęli Wiesenthala z mieszkania i ten, razem z innymi mężczyznami, trafił do fabryki, gdzie musieli przenosić ciężkie stalowe płyty z czołgów. O tym, jak zachowywali się Ukraińcy podczas jednej i drugiej okupacji, Wiesenthal pisał w swoich wspomnieniach „Prawo, nie zemsta": „Ukraińcy w zdumiewająco szybkim tempie przeszli na stronę Niemców i współdziałali z nimi. Szczególnie policja ukraińska, po wkroczeniu wojsk niemieckich do Galicji w końcu czerwca, na początku lipca odegrała nikczemną rolę. Większość tych ludzi służyła już poprzednio w milicji sowieckiej...".

Do końca roku 1942 wszyscy Żydzi musieli przeprowadzić się do getta. Wiesenthal, będąc absolwentem Politechniki Praskiej, pracował w warsztatach kolejowych. W relacji złożonej w Yad Vashem mówił po latach, że współpracował wtedy z Armią Krajową, której miał przekazać np. tajne plany uruchomienia zastępczych pieców w razie sabotażu. Jesienią 1943 r. Wiesenthal uciekł z kolegą na tzw. aryjską stronę i zaczął się ukrywać, żona już wcześniej zdecydowała się na życie poza gettem.

13 czerwca 1944 r. kryjówka, w której ukrywał się Wiesenthal, została odkryta. W niemieckim więzieniu najbardziej bał się tortur, dlatego próbował popełnić samobójstwo – raz przy pomocy żyletki, innym razem sznura. Po sowieckim bombardowaniu niektórym więźniom udało się uciec, ale nie Wiesenthalowi, którego przewieziono do obozu przy ul. Janowskiej we Lwowie. Po raz kolejny próbował uciec, ale znowu udało się to innym, nie jemu. Esesmani jednak darowali mu życie i Wiesenthal ruszył w kolumnie ewakuowanych więźniów na zachód. Po drodze któryś z esesmanów zapytał go, co by opowiedział o obozach koncentracyjnych, gdyby w jakiś sposób ocalał i znalazł się w Stanach Zjednoczonych. Polski Żyd odpowiedział, że prawdę, co Niemiec skwitował ze śmiechem słowami: „Oni pomyślą, że zwariowałeś. Nikt ci nie uwierzy". Tom Segev, biograf „łowcy nazistów", pisze, że właśnie wtedy Wiesenthal postanowił, że jeżeli przeżyje, zadba, by cały świat dowiedział się o niemieckich zbrodniach.

NAJWIĘKSZYM SUKCESEM WIESENTHALA BYŁO TO, ŻE PRZED IZRAELSKIM SĄDEM STANĄŁ ADOLF EICHMANN.

eprasa.pl 3489c50c38

Grupa więźniów, w której znalazł się Wiesenthal, przez Płaszów i Gross -Rosen dotarła do obozu Mauthausen. Tam doczekał wyzwolenia przez Amerykanów – był 5 maja 1945 r.

Klement, czyli Eichmann

Wiesenthal nie wrócił do Polski, która znalazła się w sferze sowieckich wpływów, ponieważ znał doskonale ten zbrodniczy system z okupowanego Lwowa, został na Zachodzie. Najpierw współpracował z amerykańskim wywiadem Biurem Studiów Strategicznych (OSS), brał m.in. udział w aresztowaniach esesmanów. Wtedy zbierał też m.in. relacje ocalonych z Holokaustu, dotyczyły one nie tylko niemieckich nazistów. „Latem 1946 r. Żydzi z Tarnowa złożyli u mnie zeznania obciążające funkcjonariusza policji żydowskiej Davida Zimmeta. Pewnego dnia Zimmet zjawił się nagle w moim pokoju i z nożem w ręku ruszył w moją stronę" – pisał po latach „łowca nazistów". Zamach na życie Wiesenthala jednak się nie udał, tak samo jak ten w 1982 r., gdy Ekkehard Weil, który uciekł z więzienia, podłożył bombę pod domem, w którym mieszkał Wiesenthal.

Gdy OSS zlikwidowano, zajął się poszukiwaniem ukrywających się zbrodniarzy. Robił to do końca życia. Największym jego sukcesem było to, że przed izraelskim sądem stanął Adolf Eichmann. Ten jeden z głównych organizatorów i wykonawców ludobójstwa Żydów uciekł z Europy i ukrywał się w Ameryce Południowej.

11 maja 1960 r. Ricardo Klement wracał z pracy do domu, który mieścił się na przedmieściach Buenos Aires przy ul. Garibaldiego. Nie doszedł do niego, ponieważ w pewnym momencie oślepiły go światła samochodowe i ktoś wciągnął go do auta. Zakneblowany i związany jechał na podłodze samochodu przez czterdzieści pięć minut. W domu agenci izraelskiego Mossadu zaczęli go przesłuchiwać. Za którymś z kolei pytaniem potwierdził w końcu, że nazywa się Adolf Eichmann, a nie Ricardo Klement.

23 maja świat dowiedział się z przemówienia izraelskiego premiera Davida Ben Guriona, że Eichmann jest w Jerozolimie i czeka go proces. Na drugi dzień Wiesenthal właśnie rozmawiał z dziennikarzami, gdy przyszedł do niego telegram z Yad Vashem, w którym znalazło się jedno zdanie: „Serdecznie gratulujemy z okazji błyskotliwego pańskiego sukcesu".

„PODSZEDŁ JEDEN Z ESESMANÓW I SPYTAŁ DZIECKO, CZY LUBI CUKIERKI. KIEDY ZAWSTYDZONE POTWIERDZIŁO, ESESMAN POLECIŁ MU OTWORZYĆ BUZIĘ. DZIECKO POSŁUCHAŁO, A ESESMAN STRZELIŁ MU W USTA".

„STALIN I HITLER BYLI SIEBIE WARCI I NIE WIADOMO, KTÓRY Z NICH BYŁ WIĘKSZYM ZBRODNIARZEM".
Szymon Wiesenthal

Przychodzi Forsyth do Wiesenthala

W roku 2020 Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka wydał „Diabły w deszczu" Marka Hłaski. Tekst nie został skończony, na kilkudziesięciu stronach czytelnik dostaje dosłownie kilka scen, ale każda jest świetna, raz filmowa, innym razem prawie teatralna. Raz ginie zapaśnik nazywany Kapo, a innym razem człowiek, który sprzedawał aspirynę zamiast cyjanku ludziom idącym do gazu. To mogła być dobra powieść.

W ostatniej scenie jeden z bohaterów, dziennikarz, zostaje zainspirowany do napisania książki o mścicielach, którzy najprawdopodobniej stoją za „samobójstwami" nazistów. Tak samo Szymon Wiesenthal zainspirował Fredericka Forsytha do napisania powieści o „Rzeźniku z Rygi". Petera Millera, głównego bohatera „Akt Odessy", zainspirował zaś do działania dziennik Salomona Taubera, Żyda wywiezionego z Niemiec na Łotwę. Tauber trafił do getta w Rydze, był więźniem obozów koncentracyjnych, szedł w marszu śmierci – ocalał.

W pierwszym akapicie swojgo dziennika Tauber pisał: „Nie udało mi się zrealizować w moim życiu tego, co zamierzałem – moje wysiłki okazały się daremne, albowiem zło, którego byłem świadkiem, przetrwało i nadal się pleni, dobro zaś obróciło się wniwecz i stało przedmiotem pośmiewiska. Wszyscy moi przyjaciele, którzy cierpieli i byli prześladowani, już nie żyją, a wokół mnie pozostali jedynie prześladowcy".

eprasa.pl 3489c50c38

Tak naprawdę dziennik był opowieścią pewnego antykwariusza, z którym Forsyth rozmawiał wiele godzin.

„W książce zeznania Samuela Taubera są tymi, które zostały mi opowiedziane, szczegół po szczególe, przy świecach w wiedeńskim antykwariacie. Po prostu przeniosłem Herr Taubera do Hamburga" – wspominał pisarz w swojej autobiografii.

Forsyth, tak jak bohater jego powieści, przyszedł do Wiesenthala, by dowiedzieć się od niego czegoś o „Odessie" – tajnej organizacji pomagającej zbrodniarzom wojennym. Łowca nazistów opowiedział pisarzowi i dziennikarzowi o esesmanie Eduardzie Roschmannie, sadyście o pseudonimie „Rzeźnik z Rygi", który dzięki „Odessie" ukrywa się w Argentynie. Zarówno Roschmann, jak i Wiesenthal stali się bohaterami jego powieści. Książka została szybko sfilmowana i ma inne zakończenie. Reżyser Ronald Neame tłumaczył, że nie można przez dwie godziny pokazywać widzowi zbrodniarza, a na końcu pozwolić mu uciec.

Jaki był koniec prawdziwego Roschmanna? Pewien Argentyńczyk w 1975 r. obejrzał film i zrozumiał, że prawdziwy Roschmann mieszka na jego ulicy, więc go zadenuncjował. Nazista został aresztowany. Gdy zaczęła się procedura ekstradycji na wniosek Niemiec Zachodnich, były esesman został zwolniony za kaucją i postanowił uciec do Paragwaju. „Dotarł do granicy i czekał na prom przez rzekę Paragwaj, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo – opisywał Forsyth. – Dokładnie na środku rzeki dostał poważnego zawału serca. Świadkowie powiedzieli, że był martwy, zanim uderzył o podłogę, a w tym wypadku o pokład. [...] Ponieważ prom odmówił zabrania ciała z powrotem, Paragwajczycy pochowali je w żwirowym nabrzeżu tuż za linią wody. Tak więc dzisiaj kości Rzeźnika z Rygi leżą w nieoznakowanym grobie...".

Dzięki Wiesenthalowi i Forsythowi świat dowiedział się o Roschmannie i o getcie w Rydze, które Ruth Foster tak wspominała: „Kiedy wysiedliśmy z pociągu, byliśmy zesztywniali, ledwie chodziliśmy, bo było minus dwadzieścia stopni i mnóstwo ludzi miało odmrożenia. [...] Ustawiliśmy się w szeregach po pięć osób i kazano nam iść w kierunku getta w Rydze. [...] Po drodze stało się coś strasznego. Przed nami szła młoda para mieszkająca niedaleko nas w Lingen. Każde z rodziców miało na rękach dziecko. Podszedł jeden z esesmanów i spytał dziecko, czy lubi cukierki. Kiedy zawstydzone potwierdziło, esesman polecił mu otworzyć buzię. Dziecko posłuchało, a esesman strzelił mu w usta".

Takich opowieści Wiesenthal znał z pewnością bardzo dużo, niemal do końca życia ich słuchał. Pod koniec lat 90. doprowadził do zatrzymania i postawienia przed sądem byłego esesmana Juliusa Viela, który po wojnie był znanym dziennikarzem. Sąd skazał go w 2001 r. na 12 lat więzienia za zastrzelenie w 1945 roku w czeskich Litomierzycach siedmiu Żydów. Esesman zmarł w kolejnym roku. Był to ostatni niemiecki zbrodniarz skazany dzięki Szymonowi Wiesenthalowi, który zmarł 20 września 2005 r. w wieku 96 lat w swoim domu w Wiedniu.

Jego przyjaciel i współpracownik Peter Michael Lingens napisał, że Wiesenthal jako „łowca Eichmanna" „stał się już za życia czymś w rodzaju niewyświetlonej kliszy – nie człowiekiem, lecz nazwiskiem, które inni wypełniają własnymi emocjami". S

WIESENTHAL PISAŁ W SWOICH WSPOMNIENIACH „PRAWO, NIE ZEMSTA": „UKRAIŃCY W ZDUMIEWAJĄCO SZYBKIM TEMPIE PRZESZLI NA STRONĘ NIEMCÓW I WSPÓŁDZIAŁALI Z NIMI".

SZYMON WIESENTHAL ZAINSPIROWAŁ FREDERICKA FORSYTHA DO NAPISANIA POWIEŚCI O „RZEŹNIKU Z RYGI".

eprasa.pl 3489c50c38

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

ZWOLNIENIA w FCA Poland w Tychach



Fot. Adobe Stock

Zakład Fiat Chrysler Automobiles Poland w Tychach likwiduje trzecią zmianę. Redukcja zatrudnienia ma dotknąć 740 z około 2300 pracowników i ruszyć w marcu 2026 roku. Po pierwszej turze rozmów związkowcy z „S” przekazali, że z programu dobrowolnych odejść będzie mogło skorzystać maksymalnie 320 zatrudnionych.

Spośród 740 pracowników, którzy mogą stracić pracę, 300 jest zatrudnionych na czas określony, drugie tyle stanowią pracownicy agencyjni, a 140 osób ma umowy na czas nieokreślony. PDO nie obejmie pracowników agencyjnych oraz osób, którym kończą się umowy.

Zdaniem szefa zakładowej „S” Grzegorza Maślanki zwolnienia mogą odbić się również na podmiotach kooperujących i dotknąć ogółem 3,5 tys. pracowników. W fabryce Fiata w Tychach produkowane są takie modele samochodów jak Jeep Avenger, Fiat 600 i Alfa Romeo Junior. Z zakładem współpracuje blisko 60 firm.

Powodem zwolnień ma być brak zamówień i unijne regulacje. – Rynek zbytu na samochody spalinowe się skurczył. A wiadomo, że każda firma automotive w Europie ma pewne limity co do liczby wyprodukowanych samochodów spalinowych w stosunku do aut zeroemisyjnych. W skrócie, jeśli słabo sprzedają się samochody zeroemisyjne, to nie można wyprodukować samochodów spalinowych, żeby nie otrzymać kary – mówił Onetowi przewodniczący Maślanka, dodając, że Unia Europejska „musi się obudzić”, bo motoryzacja w Europie „umiera”.

eprasa.pl 3489c50c38


Fot. Region Warmińsko-Mazurski NSZZ „S”

„Nasz rząd powoli wprowadza przepisy o układach zbiorowych pracy i powinien świecić przykładem, natomiast one są wypowiadane w spółkach Skarbu Państwa”.

Krzysztof Krzyżaniak, wiceprzewodniczący warmińsko-mazurskiej „S”, Radio Olsztyn, 12 stycznia br.

KONGRES SEKRETARIATU ŁĄCZNOŚCI

W minionym tygodniu odbył się w Warszawie Kongres Krajowego Sekretariatu Łączności NSZZ „Solidarność” z udziałem Piotra Dudy i Bartłomieja Mickiewicza. Związkowcy mówili w czasie spotkania o problemach występujących w branży, między innymi zwolnieniach grupowych w Orange Polska czy zastępowaniu pracowników etatowych osobami zatrudnianymi przez agencje pracy np. w firmie T-Mobile.

W temacie Poczty Polskiej przypomniano, że Solidarność wraz z drugą reprezentatywną organizacją związkową przedstawiły Zarządowi projekt nowego ZUZP. Marcin Gallo z Solidarności stwierdził, że Zarząd Poczty nie podjął jednak merytorycznych negocjacji nad propozycją Związku i dąży do tego, aby nadal obowiązywał regulamin wynagradzania. Pocztowców niepokoi również opcja przeniesienia listonoszy do pionu logistyki „nieprzygotowanego do realizacji ich zadań”.

„S” MÓWI „NIE” DLA CIĘĆ W JSW

Reprezentatywne organizacje związkowe działające w Jastrzębskiej Spółce Węglowej, w tym związek zawodowy Solidarność, nie wyraziły zgody na podpisanie porozumienia oszczędnościowego przedstawionego przez Zarząd spółki.

Umowa pomiędzy pracodawcą a reprezentacją pracowników miała spowodować czasowe zawieszenie niektórych świadczeń płacowych.

Na stronie górniczej Solidarności możemy przeczytać, że przedstawiony plan był niesprawiedliwy, gdyż obarczał finansową odpowiedzialnością pracowników, „odbierając należne im elementy wynagrodzenia na kilka lat, a jednocześnie nie dając pewności, czy załoga odzyska utracone świadczenia”.

Związkowcy informowali, że w przedstawionym im porozumieniu zawarto takie punkty jak: ograniczenie nagrody barbórkowej do 30 procent należnych świadczeń w latach 2025–2026, zawieszenie prawa do nagrody barbórkowej oraz ekwiwalentu barbórkowego w latach 2027–2030, zawieszenie prawa do nagrody rocznej (czternastki) w latach 2026–2030, zawieszenie prawa do deputatu węglowego w latach 2026–2030.

Strona społeczna natomiast podała, że cięcia świadczeń miałyby przynieść firmie oszczędności na poziomie prawie 8 mld złotych, „podczas gdy inne koszty funkcjonowania firmy nie będą odbiegać znacząco od poziomu z roku 2025”. W latach 2026–2030 świadczenia górników miałyby być niższe o ponad 1,7 mld zł rocznie.

„Nie możemy zaakceptować planów, gdzie na szali mamy 8 mld cięć świadczeń pracowniczych wobec niesprecyzowanych planów pozyskania finansowania bądź dalszego zadłużenia w ZUS. [...] Jako strona społeczna wykazaliśmy się 10 lat temu dużym zrozumieniem sytuacji, w której znalazła się Spółka. Podjęliśmy kroki, które zmniejszyły istotnie świadczenia pracownicze na kilka lat! Ale wtedy przedstawiono nam plan, który pokazał źródła nowych środków dla Spółki, wzrost wydobycia i przychodów, powrót do rentowności oraz ścieżkę zwrotu zawieszonych świadczeń pracowniczych! Zaprezentowany nam teraz plan nie przedstawia tym razem rzetelnych założeń i potwierdzenie źródeł finansowania zewnętrznego ani nie daje zrozumienia, czy pracownicy kiedykolwiek w przyszłości odzyskają utracone świadczenia” – argumentowali przedstawiciele reprezentatywnych związków zawodowych i zaapelowali o spotkanie z kierownictwem Ministerstwa Aktywów Państwowych, by porozmawiać o przyszłości JSW.

M.K.

Kalendarium Solidarności

25.01.1982 – Sejm zatwierdza dekret o wprowadzeniu stanu wojennego;

22.01.1983 – Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” ogłasza deklarację programową „Solidarność dziś”. Za cel stawiano sobie realizację programu reform w duchu demokracji (wzywano do powstrzymania się od przemocy, w sferze gospodarczej nawiązano do „Samorządnej Rzeczpospolitej” z I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”);

21.01.1989 – w niewyjaśnionych okolicznościach umiera ks. Stefan Niedzielak, kapelan AK i WiN oraz współzałożyciel Rodzin Katyńskich. W tym samym roku tajemniczo giną też ks. Stanisław Suchowolec oraz ks. Sylwester Zych.

eprasa.pl 3489c50c38

Sukces „S” w MOWI.
„W porównaniu z tym, co było, to jest przepaść”



Fot. Solidarność w MOWI Poland (2)

Dzięki skutecznej interwencji Solidarności dialog z pracownikami w Mowi Poland wrócił na właściwe tory. Związkowcy mają nową siedzibę Komisji Zakładowej z bieżącą wodą i dostępem do toalety, przed Bożym Narodzeniem mogli bez przeszkód rozdysponować paczki świąteczne, a w najbliższym czasie zasiądą do negocjacji regulaminów wynagradzania i świadczeń socjalnych. – W porównaniu z tym, co było, a co jest obecnie, to jest naprawdę przepaść – mówi przewodnicząca Izabela Hebbel.

Marcin Krzeszowiec

Solidarność w Mowi Poland powstała siedem lat temu w 2019 roku. To jedyna organizacja związkowa w firmie, ale dialog z pracodawcą przez długi czas pozostawiał wiele do życzenia. Związkowcy skarżyli się, że korespondencja odbywa się mailowo, a członek Zarządu – wyznaczony do rozmów ze stroną społeczną – generalnie zawsze jest na „nie” i w efekcie trudno jest cokolwiek przeforsować.

Przed ubiegłorocznymi świętami Bożego Narodzenia pracodawca nie pozwolił na wydawanie paczek świątecznych na terenie zakładu. Załoga musiała więc odbierać swoje „prezenty” na parkingu przed firmą.

Przewodnicząca zakładowej Solidarności wskazywała też na kiepskie warunki, w jakich funkcjonować musiała Komisja Zakładowa – był to kontener pozbawiony wody i toalety.

To nagromadzenie problemów spowodowało, że w styczniu 2025 roku Solidarność zorganizowała pikietę przed gdańską Alchemią, gdzie znajduje się siedziba MOWI. Związkowcy przynieśli ze sobą petycję, ale pracodawca nie spotkał się z protestującymi działaczami. Ostatecznie pismo zaniósł nasz kolega z „Tygodnika Solidarność”.

Przewodniczący Krajowego Sekretariatu Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „Solidarność” Zbigniew Sikorski zapowiedział wtedy, że zwróci się z prośbą o interwencję do międzynarodowych struktur związkowych i tak też się stało.

– Tak wygląda dialog w firmie MOWI. Firma transnarodowa z kapitałem norweskim zabrania przedstawicielom związków zawodowych złożyć stosowne pisma. To jest lekceważenie i my tego tak nie zostawimy. O całej sprawie zostaną poinformowane związki zawodowe w Norwegii w branży spożywczej, uruchomimy również nasze struktury europejskie w EFFAT z siedzibą w Brukseli i światowe struktury branży spożywczej w Genewie. To karygodne, że firma MOWI boi się spotkać z przedstawicielami pracowników – mówił wówczas przewodniczący Sikorski.

W efekcie Enrico Somaglia, sekretarz generalny Europejskiej Konfederacji Związków Zawodo-

eprasa.pl 3489c50c38

Co musisz wiedzieć:

MOWI to największy na świecie producent łososia atlantyckiego. Korporacja posiada w Polsce dwa zakłady zlokalizowane na Pomorzu – jeden w Lęborku, a drugi w Duninowie koło Ustki.

Przedsiębiorstwo zatrudnia w naszym kraju przeszło 4 tys. pracowników. Związkowcy z Solidarności przez długi czas starali się poprawić dialog w firmie, aby pracodawca wsłuchał się w ich postulaty.

Dzięki interwencji Solidarności, również na szczeblu europejskim, sytuacja mocno się poprawiła.

wych Sektora Żywności i Rolnictwa, wystosował pismo do zarządu centralnego MOWI w Bergen, w którym zaapelował o dialog z polskimi partnerami i jednocześnie poparł ich żądania.

„Wzywamy kierownictwo centralne MOWI w Bergen, aby w poczuciu odpowiedzialności zaangażowało się w otwarte i konstruktywne dyskusje z naszymi partnerami w Polsce. EFFAT w pełni popiera ich żądanie uczciwych warunków pracy i pozytywnego dialogu społecznego" – pisał sekretarz Somaglia.

Presja ze strony Solidarności i przeniesienie sporu na poziom ponadzakładowy opłaciły się, bo stosunki z dyrekcją uległy zasadniczej zmianie. I choć nadal nie jest idealnie, to sprawy posuwają się do przodu.

– W porównaniu z tym, co było, a co jest obecnie, to jest naprawdę przepaść. Po pierwsze nie ma już problemu, aby skontaktować się z pracodawcą. Mamy nową dyrektor personalną oraz kierownika ds. HR-u – oboje są bardzo kontaktowi i gotowi do załatwiania spraw na bieżąco. Jeżeli chodzi o kontener, to został on wymieniony na nowy, są w nim klimatyzacja, ogrzewanie, toaleta i bieżąca woda. To także duży plus. Rozwiązany został również problem z paczkami świątecznymi. Pracodawca wydzielił nam w tym roku pomieszczenie, a działacze otrzymali godziny związkowe, by rozdać paczki pracownikom – przekazała nam przewodnicząca zakładowej „S" Izabela Hebbel.



W tym roku świąteczne paczki związkowcy mogli rozdać na terenie zakładu pracy

Ponadto w firmie opracowywany jest obecnie nowy regulamin wynagrodzeń, a wczoraj związkowcy otrzymali projekt regulaminu Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych.

– Oczywiście nie jest idealnie, bo zdarzają się jeszcze takie sytuacje jak choćby ta z zeszłego tygodnia. Zasypało nas totalnie, ludzie przyjechali do pracy w poniedziałek, dostali dzień wolny, ale później pracodawca chciał, żeby ludzie to odpracowali 6 stycznia, w święto Trzech Króli. Po naszej interwencji udało się do tego nie dopuścić, ale to pokazuje, że cały czas jesteśmy testowani. Musimy reagować i pozostawać czujni – dodała.

Szefowa Solidarności w MOWI Poland nie ma wątpliwości, że gdyby nie interwencja Krajowej Sekcji Przemysłu Mleczarskiego, Spirytusowego i Koncentratów Spożywczych i jej przewodniczącego Zbigniewa Sikorskiego, a konkretnie pismo wysłane do centrali w Bergen, to sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej.

– Jestem świadoma tego, że gdyby nie interwencja Zbyszka i Sekcji, to zostalibyśmy potraktowani po macoszemu. Mam wrażenie, że to pismo do Bergen zadziałało i spowodowało m.in. zmianę sztabu HR-owców. Moim zdaniem bez wsparcia z zewnątrz – w przypadku tak dużej korporacji – mielibyśmy dużo większe problemy z realizacją naszych zamierzeń. Nasz przykład może być mobilizacją dla innych organizacji, że za słowem „Solidarność" stoją realne czyny – zaznaczyła.

eprasa.pl 3489c50c38

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Marek Nowak (Kino..., s. 42),
publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection".

Piotr Skwieciński (Piosenki..., s. 33),
jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

Mariusz Staniszewski (Babcie..., s. 6),
autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

Jan Wróbel (Powstanie..., s. 29),
jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Od ponad dekady prowadzi Poranek Radia TOK FM. Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

Igor Zalewski ([Nie]łatwo..., s. 22),
w „TySolu" gospodarz autorskiej kolumny „Strefa Kontaktu". W przeszłości m.in. współtwórca legendarnej rubryki „Z życia koalicji, z życia opozycji" będącej prekursorką podobnych formatów w wielu polskich mediach. Założyciel Akademii Retoryki Igora Zalewskiego. Obecnie związany z Kanałem Zero.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 3489c50c38

PRENUMERATA 2026

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENUMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (**prenumerator nie ponosi kosztów przesyłki**).

„Tygodnik Solidarność” jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych sieci Empik.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2026 roku wyniesie **9,90 zł.**

Cena w prenumeracie egzemplarzowej „Tygodnika Solidarność” w 2026 roku **wynosi tylko** → **9,90 zł**

Prosimy o wpłaty na numer konta:
mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2026 ROK

I KWARTAŁ	**128,70 zł***	(NUMERY 1–13)
II KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 14–26)
I PÓŁROCZE	**257,40 zł**	(NUMERY 1–26)
III KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 27–39)
IV KWARTAŁ	**118,80 zł**	(NUMERY 40–51/52)
II PÓŁROCZE	**247,50 zł**	(NUMERY 27–51/52)
ROK	**504,90 zł**	(NUMERY 1–51/52)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

eprasa.pl 3489c50c38

Pierwsza taka opowieść o życiu i prezydenturze

Wydanie specjalne książki Andrzeja Dudy

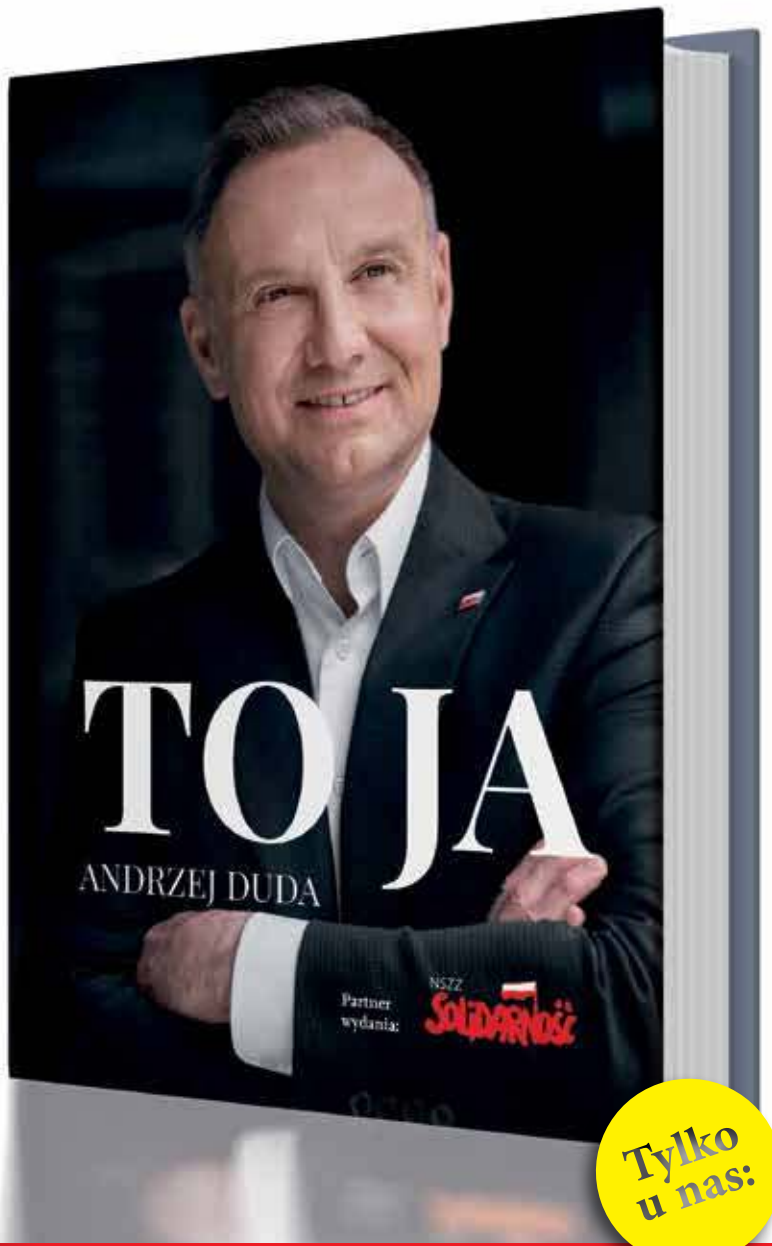

- Edycja specjalna przeznaczona dla członków i sympatyków NSZZ „Solidarność”.
- Ekskluzywna publikacja:
  - twarda, lakierowana oprawa,
  - ponad 250 kolorowych ilustracji,
  - 672 strony.
- Dodatkowy rozdział o Solidarności dostępny wyłącznie w tym wydaniu.
- Fotografie związane z Solidarnością.
- Słowo wstępne przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotra Dudy.

Tylko u nas:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl 3489c50c38